

Prolog

Konferencja

– Przepraszam... przepraszam... przepraszam – pomrukiwał młody, szczupły mężczyzna w tweedowej marynarce, przeciskając się przez tłum wypełniający salę bankietową. Przeprosiny nie były szczere – koncentrował się na doniesieniu w upatrzone miejsce przynajmniej części zdobytego z trudem szampana.

Po kilku chwilach dotarł pod filar, który nie tylko chronił mu plecy przed przypadkowym popchnięciem i utratą zdobyczy, ale także pozwalał na oparcie się i odciążenie zmęczonych niewygodnym obuwiem stóp.

Pierwszy łyk z wysokiego kieliszka nie przyniósł jednak oczekiwanej ulgi – organizator przyjęcia miał najwyraźniej bardziej naglące sprawy niż dogadzanie podniebieniom uczestników. Choć podniebienie mężczyzny nie należało do wymagających, zaczął rozglądać się za możliwością odstawienia kieliszka, czując, że z tej jakości trunków wyrósł już jakiś czas temu. Nie dostrzegłszy kelnera ani dostępnego kawałka blatu, westchnął, podparł łokieć drugą ręką i zajął się kontemplacją zgromadzonych.

Na pierwszy rzut oka było jak zawsze. Doktoranci i świeżo upieczeni doktorzy albo upijali się we własnym gronie, albo kłębili wokół profesorów, starając się wyrzucić jak najkorzystniejsze wrażenie. Ci z kolei uśmiechali się ni to z sympatią, ni to z politowaniem, jednym uchem słuchając górnołotnych banałów, przechwałek i żalonych prób polechtania ich ego, nieodmiennie zmierzających do najczęściej słyszanego tego wieczoru pytania: „Czy nie ma pan miejsca dla postdoca?”

Patrząc na poczynania młodzieży, widział samego siebie sprzed kilku lat. Do dziś zastanawiał się, czy ujął wtedy swojego obecnego szefa banałem, czy przechwałką. Po latach wspólnych badań wiedział już, że profesor Bielawski nie ma ego, które dałoby się polectać.

Upił łyk szampana, zadowolony, że może cieszyć się samotnością. Młody wygląd dyskwalifikował go jako obiekt zainteresowania doktorantów, zaś osiągnięta pozycja zwalniała z obowiązku puszenia się przed starszyzną. Jego spokój mógł zakłócić jedynie któryś ze zgromadzonych na sali reporterów.

Sama ich obecność burzyła utarty porządek. Notki prasowe z konferencji naukowych były na ogół symboliczne, a na łamach ukazywały się tylko wtedy, gdy wymagała tego estetyka składu. Tymczasem mężczyzna naliczył już kilkunastu przedstawicieli mediów. Ich identyfikacja była łatwa, gdyż w swych nienagannych strojach przypominali papugi pośród wróbli. Wrażenie potęgował fakt, że większość z nich miotała się między grupkami naukowców właśnie niczym spłoszone ptactwo. Inni daremnie szukali wskazówek u obsługi, nieodmiennie zbywającej ich wzruszeniem ramion. Pozostali albo gorączkowo wertowali program konferencji, albo dyskutowali przez komórki. Mężczyzna ze zdziwieniem rozpoznawał pośród tych zdezorientowanych twarzy czołowych amerykańskich dziennikarzy.

Tymczasem wokół niewielkiego podium w kącie sali zapanowało poruszenie. Wszyscy goście, jeden za drugim, kierowali uwagę w stronę mównicy. Ze zniecierpliwieniem wyczekiwano powitalnego przemówienia – szczególnie że zaraz po jego zakończeniu miała rozpocząć się uczta. Przypominały o niej suto zastawione stoły w holu, już od półgodziny drażniąc nosy zgromadzonych zapachem potraw.

Wreszcie przed mikrofonem pojawił się przygarbiony mężczyzna w znoszonym fraku. Światło reflektorów odbijało się od jego łysiny, prześwitującej przez zaczesane ze skroni rzadkie siwe włosy. Szmery i chrząknięcia ucichły jak nożem uciął.

– Przepraszam najmocniej koleżanki i kolegów, jednak moim obowiązkiem jest przywitanie wszystkich szanownych gości. Zważywszy na bliskość kolacji, postaram się mówić krótko.

Staruszkowie wybuchnęli szczerym śmiechem, zaś młodzież chichotała nerwowo.

– Ponieważ nie wszyscy mnie znają, pozwolą państwo, że się przedstawię. Nazywam się Frank Sestiere i mam niewątpliwy zaszczyt być gospodarzem tej konferencji.

Oparty o filar mężczyzna spostrzegł, jak kilku reporterów wpiśało nazwisko w swoje smartfony i niemal parsknął śmiechem na widok ich wydłużających się ze zdziwienia twarzy. Powoli docierało do nich, kim jest skromny, lekko uśmiechnięty staruszek. Chyba inaczej wyobrażali sobie trzykrotnego noblistę.

Łysina profesora Sestiere rozblęśla ponownie, tym razem światłem fleszy.

– Zostaną tu zaprezentowane wyniki badań, które, moim zdaniem, będą odkryciem na miarę wynalezienia koła.

Goście zeszytnieli. Dziennikarze wpatrywali się tępo w swoje smartfony, ale tym razem chyba nie przychodziło im do głów żadne zapytanie, którym mogliby uraczyć wyszukiwarki. I nic dziwnego. Co mogły oznaczać takie słowa płynące z ust człowieka, który stworzył pierwszy w pełni syntetyczny organizm minimalny i wysłał neutrino – czymkolwiek by to nie było – do równoległego wszechświata?

– Pozwoliłem sobie, jako organizator, poinformować media o doniosłości wydarzeń, które, wedle mojej wiedzy, będą tu miały miejsce. Przyzwoitość nie pozwala mi jednak na ujawnienie samego odkrycia przed jego autorem, ale i tak wszystko wyjaśni się do niedzieli. Uważam, że obowiązkiem obecnych tu przedstawicieli mediów jest opisanie tego, co wkrótce usłyszą, w sposób możliwie przystępny, acz wolny od przekłamań.

Mimo stanowczego tonu i niepozostawiającej wątpliwości apostrofy reporterzy rozglądali się na boki, jakby nie rozumiejąc, że to nie o nich mowa. Na szczęście profesor Sestiere miał już za słaby wzrok, by to dostrzec, więc niezrażony zakończył:

– A teraz zapraszam do stołów!

Staruszek z trudem zszedł z podium i zniknął w bocznych drzwiach, ku którym natychmiast rzuciło się kilku stojących najbliżej dziennikarzy. Oparty o kolumnę mężczyzna jako jeden z nielicznych nie sięgnął po program konferencji, lecz ruszył spokojnym krokiem w kierunku pieczonego prosiaka. Zdążył skroić plaster golonki, dorzucić na talerz kilka pomidorków koktajlowych i podmienić kieliszek na pełny, nim za jego plecami na po-

wrót rozległ się gwar. Pierwszy szok już minął i uczestnicy konferencji przypomnieli sobie, że na najlepsze kawałki na stole popyt zawsze przekracza podaż. Mężczyzna, balansując talerzem, wy dostał się z tłumu i wrócił na swoje miejsce. Westchnął i odstawił kieliszek na podłogę. Najwyraźniej nauka nie rozwinęła się jeszcze na tyle, żeby opracować wynalazek pozwalający stojącej osobie na jednoczesne jedzenie z talerza i trzymanie kieliszka.

Zjadł pomidorki, po czym z irytacją spojrzął na leżącą na talerzu wieprzowinę. Nawet wziął ze sobą nóż i widelec, ale znów brakowało mu dodatkowej ręki.

– Dzień dobry. Doktor Niv Sokol, jak przypuszczam? – Nieprzyjemnie wysoki, męski głos wyrwał go z rozważań nad kajdanami *savoir-vivre*'u.

Niv musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć rozmówcy w oczy. W pamięci próbował umiejscowić go w którejś z obserwowanych wcześniej grup – bez powodzenia. Nawet dziennikarze nie charakteryzowali się tak wymodelowaną sylwetką, równym uzębieniem, symetrią twarzy będącą wynikiem pracy skalpela chirurga plastycznego i ostentacyjnie drogim ubraniem. Na pierwszy rzut oka dałby mu maksymalnie trzydzieści lat. Dopiero bliższe oględziny skóry dłoni i szyi – cokolwiek już zniszczonej – kazały zwiększyć tę liczbę przynajmniej o piętnaście.

– Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się John Adams. Jestem przedstawicielem Blue Pill Corporation, a konkretnie dyrektorem do spraw kontaktów z uniwersytetami i instytutami badawczymi. – Mężczyzna zawiesił na chwilę głos, jakby w oczekiwaniu na reakcję, ale odpowiedziało mu tylko poirytowane spojrzenie. – Chciałbym z panem porozmawiać.

– Rozmawiaj pan. – Niv ukucnął, sięgając po kieliszek. Nie miał zamiaru silić się na uprzejmości. Nie lubił firm farmaceutycznych i nie widział powodu, dla którego miałby to ukrywać. Szczególnie gdy ich przedstawiciele wylewają na siebie pół butelki wody kolońskiej po każdym goleniu. Dyrektor Adams nachylił się nad Nivem i zniżył głos do szeptu:

– Tutaj jest zbyt... głośno. Poza tym nie sądzę, żeby chciał pan zobaczyć reakcję tych wszystkich ludzi, jeśli wskażę im właśnie pana, jako osobę, o której mówił profesor Sestiere.

– Skąd to przypuszczenie? – Niv wyprostował się tak gwałtownie, że tylko refleks uratował jego rozmówcę przed nokautem.

– Wie pan, w przeciwieństwie do pana kolegów po fachu, nie mówiąc o tych pismakach, zapoznajemy się z osiągnięciami prelegentów każdej istotnej konferencji i typujemy interesujące odkrycia. Pańskie prace osiągnęły w naszym systemie wynik bliski maksymalnemu. A i to pomimo stosowanych przez pana ogólników. To jak? Porozmawia pan ze mną... czy może mam wydać z siebie okrzyk zdumienia i zachwytu?

Niv bez słowa podał tamtemu talerz z mięsem i kieliszek, a następnie wyjął zmiętoszony program konferencji z kieszeni marynarki. Przejrzał wykłady, które wydawały mu się interesujące, wreszcie odezwał się:

– Myślę, że znajdę czas jutro, w trakcie przerwy na lunch. Pan dyrektor pozwoli, że najpierw zjem w spokoju i spotka się ze mną nie wcześniej niż o wpół do drugiej.

– Myśli pan, że pół godziny nam wystarczy? Mam wrażenie, że nie wie pan, z kim ma pan do czynienia.

Niv odebrał talerz i kieliszek, a następnie zawartość jednego i drugiego umieścił na spodniach rozmówcy. Przez chwilę obaj patrzyli, jak mokra plama w okolicy krocza się powiększa, a plaster szwiny zsuwa się z nogawki na nieprawdopodobnie długi nosek kowbojskiego buta ze skóry aligatora. Twarz Adamsa wykrzywił grymas wściekłości, błyskawicznie się jednak opanował i wbił wyczekujące spojrzenie w Niva, który odparł:

– Przepraszam najmocniej, ale jak ktoś mnie straszy, to zaczynają mi się trząść ręce. Widzimy się jutro o godzinie trzynastej trzydzieści. A teraz muszę coś zjeść, konam z głodu.

Naukowiec odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając pod filarem czerwieniejącego przedstawiciela Blue Pill. Przy stole, na resztkach pozostawionych przez profesorów, żerowała młodzież, głośno przechwalająca się zdobytymi kontaktami. Niv, przezornie krojąc nową porcję mięsa na drobniutkie kawałeczki, jednym uchem przysłuchiwał się tej radosnej paplaninie. Mimowolnie uśmiechnął się, gdy wróciło do niego wspomnienie podniecenia, jakie ogarnęło go, gdy na takiej konferencji jego obecny szef po raz pierwszy zadał mu pytanie, na które szczęśliwie znał odpowiedź.

Ze wspomnień wyrwał go przyjemny damski głos.

– Cześć. Ładny manewr – rzuciła drobna brunetka o okrągłej buzi i wielkich, zielonych oczach. Jej twarz przywodziła na myśl pyszczki szczeniaków lub kociąt z kolorowych nalepek dla dzieci.

Niv, wciąż myślami znajdujący się kilka lat wstecz, spojrział na nią zdziwionym wzrokiem.

– Widziałam, jak załatwiłeś tego bubka z Blue Pill. Pół roku temu ten bydlak dosiadł się do mnie i przez godzinę próbował wyciągnąć nasze protokoły badawcze. Tak w ogóle to jestem Daiva.

– Wskazała przypiętą na piersi plakietkę.

Niv podążył wzrokiem za jej palcem. Po pięciu sekundach zaświtała mu myśl, że być może zbyt bezczelnie gapi się na biust, skądinąd świetnie podkreślony krojem bordowej sukienki. Jego rozmówczyni delikatnie odchrząknęła:

– Coś nie tak?

– Nie, nie, skąd. – Zmusił się do spojrzenia z powrotem w stronę stołu. – Po prostu zastanowił mnie twój świetny... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – akcent!

– Nie wszyscy Amerykanie uczą się mówić z gumą do żucia w ustach.

– Przepraszam, nie jesteś Litwinką? – Niv złapał się na tym, że znów wlepił wzrok w okolice plakietki.

– Nie, skąd ten pomysł? – Roześmiała się perliście.

– Twoje imię jest litewskie. Wymyślił je nasz pisarz, Wilhelm Storost.

– Na nazwisko mam Parker. To chyba nie kwalifikuje się do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych nazwisk na Litwie, a co do imienia... myślałam, że moi rodzice po prostu źle zapisali awestyjskie „Daeva”. A ty?

– Co ja? – Niv zamrugał. Jego myśli zdążyły powędrować z powrotem tam, gdzie wzrok nie powinien.

– Masz jakieś imię?

Daiva wygięła się i wyciągnęła szyję, by dojrzeć jego niedbale przypiętą plakietkę. Niv po raz trzeci skarcił się w duchu za obłąkanie jej wzrokiem.

– Niv. Niv Sokol – wydukał. Odrobinę roztrzęsioną ręką chwycił za ucho sosjerki w próbie zajęcia uwagi czymś trywialnym.

Daiva przez chwilę bacznie przyglądała się jego reakcji, po czym skwitowała ją łobuzerskim uśmiechem, a w jej oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

– Spokojnie, nie szukam pracy – rzuciła swobodnie. – Jestem postdocem na Harvardzie. Co badasz?

– Siedzę w Weizmannie. Zajmuję się DNA.

– Naprawdę? A ja biologią.

Niv się zmieszał.

– To znaczy... modyfikacją DNA. Tkanki nowotworowe, te rzeczy...

– Następny od leku na raka?

– Wprost przeciwnie.

– Mutageny? Jeśli w laboratorium radzisz sobie równie sprawnie, jak tu – Daiva patrzyła z zainteresowaniem na jego talerz – to będziesz miał ciekawe dzieci.

Niv mrugnął kilka razy i dopiero wtedy udało mu się skupić wzrok na tym, co robił. Odruchowo złapał najbliższą serwetkę i próbował wytrzeć brązową plamę, która ściekała z talerza. Po chwili gęsty sos pokrywał sporą część obrusa. Kątem oka widział, jak poszerza się kpiący uśmiech Daivy.

– Nie pracuję nad mutagenami, tylko nad nanobotami – wypalił, przyklepując serwetką lepką plamę. – Dają się programować. W przeciwieństwie do sosu.

Ugryzł się w język. Przyjechał tu z mocnym postanowieniem nieopowiadania o swojej pracy przed oficjalnym wystąpieniem. Na szczęście Daiva nie podjęła tematu. Skwitowała jego wypowiedź krótkim „aha”, wyjęła mu z rąk brudną serwetkę i przykryła nią talerzyk. Następnie ujęła go pod ramię i delikatnym ruchem dała do zrozumienia, że pozwoli poprowadzić się w kierunku sali balowej. Niv ruszył potulnie, mimo że jego żołądek chętnie pozostałby w towarzystwie jedzenia.

– Swoją drogą, jak ci się spodobał tajemniczy wstęp Sestiere? – zagadnęła Daiva. – Idę o zakład, że połowa zgromadzonych ma nadzieję, że mówił o nich.

– Tylko połowa?

– Druga połowa jest tego pewna.

– A ty? Do której połowy należysz?

– Tej z nadzieją, chociaż po tym, co od ciebie usłyszałam, już z mniejszą.

Niv zatrzymał się i spojrzał na nią zaskoczony. Daiva z uśmiechem klepnęła go w ramię.

– Nie wątpię, że Sestiere mówił o tych twoich nanobotach. Chyba każdy chciałby móc zaprogramować sobie raka, który go wykończy... – Przewróciła oczami, gdy zauważyła, jak zdziwienie na twarzy jej rozmówcy przeradza się w irytację. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

Niv próbował przywołać na twarz uśmiech, ale był naprawdę wściekły. Znad ramienia Daivy zobaczył bowiem, że jego szef daje mu rozpaczliwe, przywołujące znaki. Zawsze miał fatalne wyczućie czasu! Na domiar złego Daiva źle zinterpretowała jego reakcję. W myślach szukał bon motu, który pozwoliłby mu przeprosić, wyjaśnić i obrócić wszystko w żart, ale prawda była taka, że w towarzystwie atrakcyjnych kobiet błyskotliwe komentarze z trudem przychodziły mu do głowy. A figlarne spojrzenie jej ogromnych oczu tylko pogorszyło sytuację, paraliżując go kompletnie.

– Ja... no... tego... bo tam... – dukał, jednocześnie starając się dać do zrozumienia szefowi, że podejdzie za chwilę, ale ten był kompletnie odporny na przekazy niewerbalne.

Jak zwykle.

Daiva zmarszczyła brwi, obserwując jego miny, wreszcie odwróciła się i dostrzegła machającego staruszka.

– Twój szef?

– Ta... Tak. Profesor Joshua Bielawski.

Widząc, że zwrócili na niego uwagę, podekscytowany profesor zaczął podskakiwać, machając już obiema rękami.

– To idź do niego, chyba ma do ciebie sprawę. Poczekam na parkiecie. Rozgrzeję się trochę.

Niv ukłonił się i niemal biegiem pokonał dystans dzielący go od szefa.

– Co się stało? Jak pan profesor widzi, jestem trochę zajęty. – Niv nerwowo oglądał się za niknącą na parkiecie bordową sukienką.

– Widzę, widzę. Nie chciałem przeszkadzać, ale rozumiesz, sprawa jest ważna. – Nieobecny uśmiech profesora budził nie-

pokój. – Nie masz może dodatkowej przejściówki na tutejsze gniazdko? W recepcji się skończyły, a następna dostawa pojutrze.

Niv pokręcił głową z niedowierzaniem, ale zanim znalazł słowa, którymi mógł, nie łamiąc dobrych obyczajów – ani swojej kariery – skomentować to pytanie w obecności szefa, ten machnął ręką.

– No, ale nie po to cię zwołałem. Nie uwierzysz, ale po tych wszystkich latach moje badania nad helikazami zainteresowały przemysł. Chcą zamówić u mnie konsultacje!

– Świetnie! Cieszę się – burknął Niv, chociaż wcale się nie cieszył. Z każdą sekundą rosła szansa, że bordowa sukienka zniknie mu z oczu na dobre. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Pomyślałem, że może też trochę zarobisz i wspomniałem temu miłemu człowiekowi, że powinien także porozmawiać z tobą. W końcu twoje nanoboty też mają aktywność helikazową.

Słyszając to, Niv ukrył twarz w dłoniach. Nie chciał sprawiać staremu profesorowi przykrości, ale prosił go przecież...

Profesor Bielawski, o dziwo, znalazł się myślami na tyle blisko ziemi, żeby dobrze zinterpretować jego gest.

– Spokojnie, nie podawałem żadnych szczegółów, bo znowu bym coś pokręcił. Po prostu mamy się z nim spotkać.

– Czy ten miły człowiek miał może kwadratową szczękę, jedwabny garnitur i buty ze skóry aligatora?

– Nie! Skąd ten głupi pomysł? Kto poważny ubrałby się tak na konferencję?!

Niv uśmiechnął się mimowolnie, słysząc to z ust człowieka ubranego w kraciatą, flanelową koszulę i wełnianą kamizelkę wyciętą w serek. Profesor kontynuował:

– Zostawił mi wizytówkę. Sprawdź w sieci, co to za firma.

Podał Nivowi kartonik z logo InnoMed Pharmaceuticals, po czym zamilkł, utkwivszy wzrok w przestrzeni. Niv tego nie znosił, bo nigdy nie wiedział, czy profesor za chwilę coś doda, o coś zapyta, zmieni temat, czy też właśnie uznał rozmowę za zakończoną i odpłynął myślami do znanej tylko sobie krainy. Na szczęście tym razem z pomocą przyszła orkiestra, która nagle uderzyła w żywsze tony. Profesor zatrzepotał powiekami, popatrzył na parkiet i klepnął Niva w ramię.

– Jeszcze tu jesteś? Błąd! Nie sędzę, żeby tak piękna niewia-
sta czekała na kogoś takiego jak ty dłużej niż trzy minuty. Tylko
nie zapomnij. Jutro o wpół do drugiej w kafeterii. Do zobaczenia!
– Odwrócił się i tanecznym krokiem, choć najwyraźniej w rytm
jakiejś innej muzyki, poczłapał do wyjścia.

Niv przez chwilę zastanawiał się, czy nie pobiec za profesorem
i nie powiedzieć mu, że o wpół do drugiej ma także rozmawiać
z przedstawicielem Blue Pill, ale gdy odwrócił się w stronę parkietu,
chcąc zasygnalizować Daivie, że za minutę wróci, zamarł. Wirowała
w tańcu na samym środku, a wokół niej błyskawicznie zwiększa-
ła się liczba podrygujących samców. Sędząc po nadętych minach
i niezbornych ruchach, bardziej niż na tańczeniu skupieni byli na
głośnym omawianiu swoich wyników i otrzymanych nagród.

Niv wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i ruszył w stro-
nę Daivy. Choć nie uważał się za dobrego tancerza, nie miał wąt-
pliwości, że i tak rusza się lepiej od zdecydowanej większości
zgromadzonych, choćby z uwagi na fakt, że – w przeciwieństwie
do nich – niemal zawsze znajdował czas, by trochę poćwiczyć,
najlepiej na świeżym powietrzu. Przywykłe do wysiłku mięśnie
i nabyta podczas wspinaczki koordynacja sprawiały, że ruchy miał
pełne gracji, zaś częsty kontakt z pogodą pozbawił go zielonkawej
bladości cery, tak charakterystycznej dla młodego pokolenia na-
ukowców, hodowanych przy świetle monitorów w klimatyzowa-
nych laboratoriach. I chociaż na sali gimnastycznej nie wyróżniał-
by się ani sprawnością, ani muskulaturą – w końcu dzięki skałkom
bardziej rosły mu ścięgna niż mięśnie – to tutaj z satysfakcją za-
uważał, że jako jeden z nielicznych w towarzystwie ma koszulę,
która dopina mu się na brzuchu.

Daiva przyjęła jego pojawienie się z ostentacyjną ulgą, i gdy pół
godziny później skierowali się z powrotem do sali bankietowej, nie
podążył już za nimi żaden z podrywaczy.

Niv nalał szampana do kieliszków, po czym zajęli jeden ze
stolików na uboczu. Zarówno spora część dyskutantów średnie-
go szczebla, jak i młodzieży uprzednio oblegającej starszą, wy-
wędrowała na parkiet, więc wyraźnie było widać, jak przez
ostatnią godzinę zmieniała się sytuacja geopolityczna. Teraz sto-
liki okupowały wyłącznie monokultury profesorów. Wszystkie

krawaty i muchy, już wcześniej nieliczne, powędrowały do kieszeni, na blatach pojawiały się kolejne butelki wina, a uśmiechy robiły coraz szersze. Niewprawy obserwator mógłby uznać, że prowadzone rozmowy nie wykraczają poza omawianie sukcesów wnuków w rozmazywaniu dżemu po ścianach.

Wrażeniu temu najwyraźniej dali się zwieść wciąż zagubieni dziennikarze, którzy nie potrafili dostrzec, że na ich oczach tworzą się projekty warte miliony dolarów. Korzystało z tego kilku doktorantów, którzy znaleźli sobie nową rozrywkę. Zaczepiali reporterów i – z wymalowaną na twarzach troską – pomagali im przeglądać program konferencji, objaśniając znaczenie poszczególnych punktów. Niv i Daiva pękali ze śmiechu, słysząc, jak każdemu z dziennikarzy opowiadają inną bajkę.

– Gdyby zobaczył to Sestiere, powyrywałby im nogi z... – Niv zreflektował się, że rozmawia z damą i urwał wymownie.

– A każdy z nich dałby sobie dodatkowo obciąć rękę, żeby móc opowiadać wnukom, że miał z nim bezpośredni kontakt.

– Ciekawe, ile jeszcze te papugi tu wytrzymają?

– A która jest godzina? – Daiva zaczęła nerwowo szperać w torebce.

– O północy zmieniasz się w Kopciuszka? – Niv udał zaniepokojenie.

– Nie, dziś siódmy mecz play-offu Byków i Magików. Kwadrans po dziewiątej powinny być wyniki.

Niv teatralnym gestem uniośł palce do skroni.

– Mmm... – inkantował przez dwie sekundy, po czym zamrugał gwałtownie. – Jeszcze grają.

Daiva rzuciła okiem na swój telefon i rozejrzała się uważnie, ale nie dostrzegłszy żadnego ekranu telewizyjnego, posłała Nivowi podejrzliwe spojrzenie.

– Skąd wiedziałeś?

– Wierzysz w magię?

– Jasne. Dlatego Magicy rozniosą dziś Byki w pył.

– Brzmi logicznie.

– Kolejnym argumentem przemawiającym za jej istnieniem jest fakt, że większość facetów, z którymi się umawiałam, magicznie zniknęła, gdy dowiadawali się, że mam trzycyfrowe IQ.

– A masz? – Niv zrobił przerażoną minę, po czym uśmiechnął się wymijająco. – To świetnie. Wspaniale! Tylko robi się późno, wiesz? Dzięki za taniec i w ogóle, ale ja będę leciał...

Daiva pokazała mu język.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Prawdziwy magik nie zdradza swoich sztuczek, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Kolega wyśle mi wiadomość z wynikami zaraz po meczu.

– No tak, każda odpowiednio zaawansowana technologia niczym nie różni się od magii. Jak myślisz, kto wygra półfinały?

– Zależy, kto jutro wygra w Bostonie...

Rozmowa zdążyła zejść na Konferencję Zachodnią, gdy Niv dostrzegł w drzwiach uważnie rozglądającego się po sali Johna Adamsa.

– Masz ochotę jeszcze potańczyć? Grają spokojniej, więc będziemy mogli kontynuować obstawianie, a tu zaraz dopadnie mnie nasz znajomy bubek z Blue Pill.

– Myślałam, że już nigdy tego nie zaproponujesz! – Daiva ochoczo przyjęła podstawione ramię. – Ale jeśli jeszcze raz nadpnieś mi na palce, to sama go zawołam.

– Nie zrobiłabyś tego! – Niv wziął się pod boki, udając oburzenie. – Kara powinna być współmierna do winy.

– No właśnie. Swoją drogą... Widziałam, że podłożyłeś mu świnię, dosłownie i w przenośni, już po minucie rozmowy. Czym cię tak wkurzył?

– Rozmawiałaś z nim, powinnaś wiedzieć.

– Mnie wkurzył, bo próbował, do tego fatalnie, wyciągnąć za darmo informacje, za które ostatecznie zapłacił nam siedmiocyfrową kwotę.

Niv zatrzymał się z wrażenia.

– To w końcu z nim współpracowałaś?

– Nie osobiście. Katedra podpisała z nim umowę licencyjną na kilka naszych metod. Chociaż ta jego firma była dla nas cierniem w... no wiesz. – Błysk w oku Daivy zdradzał głęboką irytację. – Szeff zdecydował się na współpracę z nimi, bo płacili najwięcej, ale potem wydaliśmy połowę zysku na prawników. Blue Pill pozywał nas za to, że metoda działała zgodnie z opisem, a nie z ich wyobrażeniami.

– Nie szkoda wam czasu na takich jak oni?

– W Stanach połowa pieniędzy na badania idzie z przemysłu. Myślałam, że w Weizmannie ten odsetek jest jeszcze wyższy.

– Szczerze mówiąc? Nie mam pojęcia – Niv zmarszczył brwi – ale na pewno nie u Bielawskiego. Jedyna firma, z jaką mamy styczność, to serwis naszego ekspresu do kawy.

– To może poproszę go o stypendium. – Daiva uśmiechnęła się, nie zauważając, że Niv, słysząc te słowa, pogubił krok.

W końcu dotarli do parkietu. Czując, jak partnerka przywiera do niego w tańcu, Niv modlił się, żeby orkiestra utrzymywała senne tempo.

– Nie odpowiedziałeś mi, czemu z miejsca zapalałeś sympatią do Adamsa.

– Nie lubię ludzi, którzy myślą, że wszystko można dostać za pieniądze.

– A wiesz, że on tak samo myślał o mnie?

– Że uważasz, że wszystko możesz dostać za pieniądze? – Niv kątem oka zlustrował jej biżuterię. Nagle nabrał przeświadczenia, że przeszacował liczbę atomową głównego składnika białych kryształków rozświetlających jej szyję, uszy i ręce. O całe trzydzieści dwa.

– Nie. Że mnie także można kupić. – Westchnęła.

– Idiota.

– Skąd wiesz, że nie miał racji?

– Bo tańczysz teraz ze mną.

– Co ma do tego taniec? Widziałeś te jego buty? Naprawdę nie lubię deptania po palcach.

– Myślałem, że nie znalazłaś maski przeciwgazowej pasującej do jedwabnej sukienki.

Obydwoje parsknęli śmiechem. Niestety, ta chwila nieuwagi wystarczyła, żeby podeszwa Niva znalazła się na stopie Daivy. W panice próbował się odsunąć, ale ona przytuliła się do niego mocniej.

– Zastanawiałam się kiedyś, czy biedniejsi są ci, którzy mają za mało pieniędzy, czy za dużo.

– Nie zetknąłem się z nikim, kto twierdziłby, że ma za dużo pieniędzy.

– O tym mówię. O ludziach, którzy tak uzależnili się od pozyskiwania nowych przedmiotów, że nie widzą, że na poziomie materialnym mają już wszystko, czego im potrzeba.

– I oni mają być biedniejsi od tych, którzy nie mają nawet jedzenia?

– Jedni i drudzy wciąż myślą o pieniądzach i rzeczach, które za nie kupią.

Niv przygryzł wargę.

– A co powiedziałaś o kimś, kto po prostu chce mieć dość pieniędzy, żeby nie musieć o nich myśleć?

– Pytanie, kiedy uzna, że może przestać.

– Na przykład kiedy stać go będzie na własne mieszkanie oraz samochód, chociaż o połowę od niego młodszy...

Niv, słysząc własne słowa, zatrzęsł się ze złości. Ależ był głupi! Chciał po prostu odciąć się od podejsia Adamsa, a skończył, użalając się nad swoją sytuacją materialną. Rozpaczliwie szukał sposobu, by jakoś zmienić temat.

W sukurs przyszła mu orkiestra, uderzając w żwawsze tony. Nie minęło półtorej minuty, a opustoszały parkiet zaludnił się ponownie.

– Buty strasznie zmasakrowały mi stopę. – Niv skrzywił się przeprasząc. – Może masz ochotę usiąść w jakimś spokojniejszym miejscu? Nie dam już rady tańczyć.

– Ach, mężczyźni! – Daiva się roześmiała. – Dzielni bez sensu. Trzeba było powiedzieć od razu, że but cię obciera. Myślisz, że to coś dziwnego dla kobiety? – Mrugnęła do niego. – My kupujemy nowe buty znacznie częściej od was. Ale nie! Lepiej grać macho. Wiesz, że ten wzorzec męskości zdewaluował się dobrych kilkadziesiąt lat temu?

Niv wziął wdech, żeby jej odpowiedzieć, ale uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

– Nie zaprzeczaj, bo akurat mnie się to podoba. Jeśli dyskretnie, w ramach pielęgnowania machismo, zwiniesz jeszcze butelkę szampana, to może spróbujemy poratować te twoje obolałe stopy u mnie w pokoju. Mam plastry.

Bezpruderyjność tej propozycji tak zaskoczyła Niva, że zaniemówił na kilka sekund. Dobierana z pietyzmem talia ripost, dow-

cipów i złotych myśli wypadła mu z rąk, gdy dotarło do niego, że drugi gracz właśnie przewrócił stolik.

Kiwnął głową, wymamrotał coś bez ładu i składu i ruszył w ślad za Daivą. Pozbierał się dopiero kilka kroków dalej i od niechcenia zdjął marynarkę, a w drodze do drzwi, pod pozorem sięgania po koreczki, ukrył pod nią butelkę. Szczęśliwie kobieta zdążyła już odejść kilka kroków, więc chyba nie dostrzegła, że podszedł do niego jeden z kelnerów i uprzejmie zapytał o numer pokoju, do rachunku którego powinien doliczyć trunki. Na domiar złego Niv przypomniał sobie, jakiej jakości alkohol tu serwowano i humor popsuł mu się jeszcze bardziej.

— Nie przejmuj się tak — powiedziała Daiva na widok jego płonących ze wstydu uszu, kiedy dogonił ją przy windzie. — Ja tylko niosę pomoc. W końcu jestem doktorem.

— Nie, to nie tak... — Wspaniale zarysowane brwi uniosły się pytająco, dając Nivowi do zrozumienia, że palnął głupstwo. — To znaczy tak. Ale wiesz, różnie ludzie gadają... — Zdawał sobie sprawę, że pograża się coraz bardziej, ale wołał to, niż zdradzić prawdziwy powód swojego zakłopotania. Butelka szampana, mimo że już legalnie nabyta, ciążyła mu w dłoni.

— Gdybym robiła coś, co uważam za naganne i przejmowała się tym, co ludzie powiedzą, dałabym ci mój numer pokoju i poprosiła, żebyś przyszedł za pół godziny.

— Mhm...

— A ty stałbyś tu jak on — wskazała na młodzieńca opartego o ścianę kilka metrów dalej — i co dziesięć sekund spoglądał na zegarek.

Faktycznie, nim usłyszeli dźwięk windy, mężczyzna zdążył odsunąć mankiet koszuli dwukrotnie.

— Nie stałbym — zaprotestował słabo Niv. — Naprawdę bołą mnie stopy.

Gdy weszli do windy, Daiva zajęła się poprawianiem lekko zwichrzonej w tańcu fryzury, co dało Nivowi kilka chwil na uporządkowanie myśli. W wojnie płci brakowało mu intuicji, co nie oznaczało, że nie był doświadczony. Niestety, przebieg wcześniejszych znajomości nie pozwalał na przyjęcie jakiejś konkretnej strategii. Bywało, że udana randka kończyła się upojną nocą, jednak zda-

rzało mu się także dostać w twarz, i to tylko za próbę pocałowania dziewczyny w policzek przed drzwiami jej pokoju. Było to dla niego kompletnym zaskoczeniem, bowiem na parkiecie, zaledwie dziesięć minut wcześniej, nie tylko pożerała go wzrokiem, ale także namiętnie pieściła i przyzwalała na gesty, za które jeszcze dziś jego matka spuściłaby mu lanie. No ale to była Szwedka. Koledzy powiedzieli mu później, że gdy z nią wyszedł, robili zakłady, czy wróci z rozbitym nosem, czy łukiem brwiowym. Zdarzało mu się też przegadać całą noc, sam na sam w pokoju z najładniejszą dziewczyną na imprezie. Czasem okazywało się, że na nic więcej i tak nie mógł liczyć, a czasem wprost przeciwnie – żadne z nich nie mogło zrozumieć, dlaczego nie doszło do niczego więcej. Ale to była purytańska Europa Wschodnia. O ile zdążył się przekonać, Amerykanki były raczej bezpruderyjne. Z drugiej strony z tymi, które rwały się do łóżka, niełatwo było porozmawiać o czymś więcej niż ich praca lub wygląd. Żadna nie dorównywała Daivie klasą, więc tym trudniej było mu ocenić, czego tak naprawdę nowo poznana kobieta od niego oczekuje. Westchnął ciężko nad meandrami różnic kulturowych.

– No i jak, zebrałeś się na odwagę?

Zorientował się, że od kilku chwil stoją przed otwartymi drzwiami do jej pokoju.

– W sumie zapomniałem spytać, czy jesteś doświadczalnikiem, czy teoretykiem.

– A jakie to ma znaczenie?

Niv z zadowoleniem stwierdził, że po raz pierwszy to on wprawił ją w zakłopotanie.

– Jeśli mam się oddać w twoje ręce, chciałbym wiedzieć, jaki jest poziom twojej sprawności manualnej. Zastanawiałem się właśnie, czy przypadkiem ta butelka szampana nie ma mi służyć za anestetyk.

Daiva odetchnęła z ulgą. Chyba przez moment bała się, że trafiła na oszołoma, który dzieli ludzi na teoretyków i idiotów. Szybko odzyskała rezon.

– O niczym nie marzę tak, jak o nawalonym facecie chrapiącym w moim łóżku. Łazienka jest po prawej. Zrzuć te buty i przygotuj się do zabiegu.

Gdy po pięciu minutach wyszedł, roześmiała się, widząc jego podwinęte do kolan nogawki. Czekał na jakiś złośliwy komentarz w stylu: „Wybierasz się na ryby?“, ale tym razem Daiva dobrodusznie przemilczała sprawę.

– Mam nadzieję, że nie spieszysz się za bardzo. – Przeszła za jego plecy, kołysząc biodrami. – Patrząc na to, co cieknie z twojej pięty, powinnam się przebrać, nim się za nią zabiorę. Możesz w międzyczasie nalać szampana. Kieliszki widziałam w szafce przy łóżku, a butelka jest już w lodówce.

– Tak jest! – odpowiedział Niv, ale polecenie wypełnił tylko połowicznie, bowiem gdy wyciągał kieliszki, jego uwagę przykuła leżąca na blacie książka. Sięgnął po nią bezwiednie, usiadł na łóżku i zagłębił się w lekturze. Gdy kilka minut później Daiva stanęła w drzwiach łazienki, z wrażenia niemal wypuścił ją z rąk.

Jeśli wcześniej zdawało mu się, że sukienka dobrze podkreśla jej kobiece kształty, to teraz doszedł do wniosku, że było wprost przeciwnie – ukrywała je. Wbrew jego nieśmiałym oczekiwaniom, Daiva nie ubrała się w szlafrok – co pozwalałoby łatwo przewidzieć dalszy przebieg wieczoru – ale w dopasowane dzinsy i krótki biały podkoszulek. Sposób, w jaki układał się na piersiach, kiedy wygięła się do tyłu, wycierając włosy, przypawił go o suchość w ustach. Kusy materiał podjeżdżał coraz wyżej i wyżej po jej płaskim brzuchu, a kilka kropel wody utworzyło na koszulce półprzezroczyste plamy, które ponad wszelką wątpliwość dowodziły, że pod spodem nie miała nic. W końcu zawinęła turban i wyprostowała się.

– O, jednak książka – powiedziała z uśmiechem, zdając się nie dostrzegać, jakie wrażenie wywarła na Nivie.

– Słucham? – Niv wziął głęboki wdech, żeby nieco rozluźnić napięte nagłym podnieceniem mięśnie.

– Na szafce leży pilot od telewizora, a jednak wybrałaś książkę.

– Pilot? – zdziwiony Niv spojrzał na blat. – Faktycznie. U mnie hotel zostawił Biblię i katalog sklepu wolnocłowego, ale nie biografie Picassa.

– Hotel zostawił! – Urażona wyduła usta.

W tym geście było coś tak niewinnego i zarazem lubieżnego, że Niv położył sobie książkę na udach, nie ufając luźnemu mate-

riałowi spodni. Zielone oczy łypnęły na niego z zaciekawieniem, a w kącikach warg zadrgała tłumiona wesołość.

— Tak, wiem! Nie wszyscy Amerykanie uczą się czytać na katalogach! — Podniósł ręce w geście poddania.

— No! Jak chcesz, to potrafisz. — Ironiczny uśmiezek rozciągnął prawą połowę jej ust, rzeźbiąc na twarzy grymas godny ancymona, który właśnie zbił szybę w oknie sąsiada i jest z tego bardzo dumny. — Teraz, zgodnie z Konwencją Genewską, przystąpimy do opatrywania rannych.

Z walizki stojącej pod ścianą wyjęła małą, podróżną apteczkę i usiadła w nogach łóżka. Gdy zdjęła z głowy ręcznik, by nie opaść jej na twarz, do Niva dotarła delikatna woń jej wilgotnych włosów. Obiema dłońmi unieruchomił książkę, dociskając ją do nóg. Widząc jego gest, Daiva rozciągnęła usta w złośliwym uśmiechu.

— Mogę ci ją pożyczyć. Nie musisz jej czytać teraz.

— Próbuję odwrócić uwagę od tego, co będziesz robić. Jak wyjmiesz igłę, moje emploi macho legnie w gruzach.

— To zamknij oczy i nie patrz. Przykro mi, ale czytanie samemu podpada pod chrapanie po pijaku.

Udając, że korzysta z rady, Niv oparł się o poduszki i obserwował Daivę spod przymkniętych powiek. Ciemne włosy w połowie zasłaniały twarz, jednak doskonale widział jej smukłe ręce i delikatne dłonie. Zawsze miał słabość do karmazynowego lakieru na paznokciach.

— Jak zaśniesz, obudzę cię tym. — Pogroziła mu trzymaną w dłoni igłą, nie podnosząc głowy.

— Znam przyjemniejsze sposoby budzenia.

— Ja też. Ale znam też przyjemniejsze miejsce do zasypiania niż podłoga we własnym pokoju hotelowym. Poczuj się jak facet! Nie mogę jednocześnie przekłuwać bąbli i bawić cię rozmową. Zresztą maniera „No leżę, no czekam, no baw mnie” jest damską domeną.

Poczuł się przywołany do porządku.

— Dlaczego Picasso?

Daiva odpowiedziała, wbrew wcześniejszym zapowiedziom, równocześnie mówiąc i opatrując skaleczenie:

— Zaczęło kręcić mnie inne postrzeganie rzeczywistości, pokazanie na płótnie czegoś więcej niż tylko kształtu czy koloru.

Klasyka jest ładna dla oka, ale w dobie fotografii samo odzwierciedlenie materii przestaje robić aż takie wrażenie. Oczywiście uznają geniusz Rembrandta czy Michała Anioła, ale trudno osiągnąć satysfakcję patrzeniem na nieruchomą formę, choćby najdoskonalszą. Chciałoby się zobaczyć więcej, sięgnąć głębiej, pójść krok dalej. Rozumiesz?

Patrząc na jej delikatnie zaróżowione policzki i falujący w rytm oddechu biust, Niv rozumiał, i to rozumiał boleśnie. Dopóki jednak trzymała w ręku igłę, wołał pozostać nieruchomą formą.

– Niech zgadnę. Z klasyki zrobiłaś krok w impresjonizm?

– Nie, przeskoczyłam ten etap. – Daiva przykleiła plaster, jednak pozostała w tej samej pozycji, ze stopami Niva na swoich udach. – Przeszłam od razu do ekspresjonizmu, ale nie był to trwały związek. Raczej znajomość na jedną noc. Kandinsky porwał mnie do abstrakcji. Na samą myśl o „Jeźdźcu” dostają gęsiej skórki! – Przymknęła oczy. – Ten ruch, to nieskrępowanie, ta radość z szaleńczej galopady! Wystarczyło kilka śmiałych pociągnięć pędzla.

Niv wstrzymał oddech, gdy w uniesieniu zaczęła rytmicznie ugniatać jego stopy.

Po kilku uderzeniach serca otrząsnęła się z zadumy i spojrzała na niego z mieszanką zakłopotania i figlarności. Rozsiadła się wygodniej i kontynuowała, o dziwo nie przerywając masażu.

– Niestety, potem abstrakcja okazała się dla mnie zbyt... abstrakcyjna. W moich poszukiwaniach chodziło o odnalezienie czegoś więcej niż malowanego obiektu. Ale próba oddania samego „czegoś więcej” w kompletnym oderwaniu od obiektu to była już przesada.

– Nie przemawia do ciebie biały kwadrat na białym tle?

– Malewicz? Daj spokój! Jestem kobietą, rozróżniam więcej niż szesnaście kolorów.

– A Rothko? Pollock? – Niv się zaśmiał.

Daiva spojrzała na niego jak na wariata.

– Sądzisz, że Amerykanie mają u mnie większe szanse niż Słowianie? – Nie doczekała odpowiedzi, więc podjęła wątek: – Na jednym z obrazów Pollocka widziałam niedopałek. Jeśli cały wielki bohomas był czymś więcej wokół niedopałka, cieszę

się, że nie namalował Statuy Wolności. Ale skoro o niedopałkach mowa... Zapalisz? – Klepnęła go w stopy, sygnalizując koniec masażu, a gdy podkulił nogi, zgrabnie zeskoczyła z łóżka.

– Na myśl o ponownym włożeniu butów dostają dreszczy.

Niv nie był nałogowcem, choć czasem lubił zapalić dla towarzystwa czy uspokojenia nerwów. Tym razem bał się jednak, że jeśli w tej chwili wyjdzie z pokoju Daivy, może się okazać, że wróci do swojego. Dotychczasowy przebieg rozmowy wciąż nie pozwalał przejrzeć planów gospodyni na resztę wieczoru, ale widząc, jak przeciąga się koło łóżka, napinając jeden po drugim mięśnie na brzuchu i udach, był zdeterminowany zostać do rana i nie przegadać całej nocy.

Daiva wyciągnęła z torebki paczkę cienkich mentoli, rozsunęła zasłony i otworzyła okno, wpuszczając do pokoju rześką bryzę.

– Starczy tej medycyny na dziś – oznajmiła. – Żadnych butów! Zapalimy tutaj.

Okno nie było zbyt szerokie, więc stali przytuleni, delektując się widokiem oceanu i usianego gwiazdami nieba. Daiva zaciągała się rzadko i symbolicznie, jak gdyby całe to palenie było tylko pretekstem do stworzenia intymnej atmosfery. Niv przez moment zastanawiał się, co jeszcze było w tej grze tylko pretekstem, ale poddał się, gdy dogasiła papierosa i oparła głowę o jego ramię.

– Ale pytałeś, dlaczego Picasso – wyszeptła jak gdyby nigdy nic. – Z abstrakcji tylko krok do kubizmu. Et voilà! Mamy Picassa na biurku. Uwielbiam sposób, w jaki oddaje emocje. Za pocałunek taki, jak na jego obrazie, byłabym gotowa zabić.

– To znaczy? – palnął Niv, nie dostrzegłszy w porę jej delikatnie odchyłonej głowy i przymkniętych oczu. Nim pojął magię chwili, czar prysł, zostawiając go z na wpół uniesioną dłonią, wydętymi wargami i przygłupią miną gimnazjalisty, który po raz pierwszy w życiu zobaczył kawałek golizny.

Na szczęście Daiva tego nie dostrzegła – lub udała, że nie dostrzega – i dała mu jeszcze jedną szansę:

– To znaczy taki, przy którym cały świat zatraci znane kształty, ujawniając coś więcej – mówiąc to, delikatnie musnęła usta palcem.

Niv nachylił się i dotknął jej warg swoimi. Delikatnie oddała pocałunek, który był długi, nawet bardzo długi, ale jednocześnie

niezwykle subtelny. Stali bez ruchu, smakując swoje usta. Kiedy jednak Niv, niemal nieprzytomny z pragnienia, spróbował przytulić Daivę, ta oderwała się od niego ze śmiechem.

— Coś w ten deseń. Wiesz, nawet przypominasz tego gościa z obrazu. No, może z wyjątkiem łysiny i brody.

Niv stał bez ruchu. Miał wrażenie, że jeśli drgnie, jego ciało rzuci się na kobietę, zrywając z niej namiastkę ubrania. Daiva odwróciła się, podeszła do łóżka i nachyliła nad porzuconą książką. Przerzuciła kilka kartek i wskazała stronę, której szukała. Niv jak przez mgłę zobaczył obraz, o którym wcześniej rozmawiali. Dwie zdeformowane twarze przyglądały mu się z zaciekawieniem.

— Oczy — skwitowała, zerkając to na obraz, to na Niva. — Masz ten sam wyraz oczu.

Niv parsknął śmiechem, z ulgą odkrywając, że to rozładowało napięcie do poziomu, w którym znowu może się kontrolować.

— Bałem się, że chodziło ci o mój nos. W końcu jestem litewskim Żydem.

— Jesteś? Zdawało mi się, że was nie poznaje się po nosie — z twarzy Daivy nie znikał łobuzerski uśmiezek — tylko po DNA mitochondrialnym.

Nim Niv skończył się śmiać, zmieniła temat:

— Skąd taki jajogłowy tyle wie o sztuce? — zapytała, rozsiadając się wygodnie na łóżku.

— Wie? Na razie rzuciłem paroma nazwiskami.

— Ja ci o sobie opowiedziałam! — fuknęła i ruchem ręki wskazała miejsce obok siebie. — Siadaj! Pogadamy inaczej!

Gdy wykonał polecenie, wskoczyła mu za plecy i zaczęła delikatnie masować jego kark i ramiona.

— To jak? Będiesz współpracował... czy mam przestać?

— Dobrze, już dobrze! Zabawna rzecz, bo w sumie poruszałem się podobną ścieżką, wychodząc początkowo z zupełnie innych założeń. Dla mnie ważne jest to, co można zobaczyć i dotknąć, nie szukam czegoś więcej. — Czując, jak Daiva nieruchomieje, Niv pojął nagle wieloznaczność tego stwierdzenia, a także wieloznaczność jej wcześniejszych słów, i aż zająknął się z przejęcia: — To znaczy w sztuce!

— Sztuka nie jest dla ciebie odbiciem rzeczywistości?

– Szczerze mówiąc, traktuję malarstwo raczej w kategoriach estetycznych i intelektualnych, nie jako źródło doznań duchowych. Też byłem nieco znudzony klasyką, ale zacząłem szukać czegoś innego niż ty. Nie czegoś więcej, ale czegoś bardziej. – Po tych słowach Daiva westchnęła i zaczęła bawić się kołnierzykiem Niva, co dość skutecznie go rozpraszało. Gdy wziął kolejny wdech, z przerażeniem spostrzegł, że zapomniał, co przed chwilą powiedział. – To znaczy... Miałem na myśli, że klasyka... To w pewnym momencie przestaje być interesujące, bo...

– I zacząłeś szukać czegoś bardziej – odpowiedziała rozbawiona Daiva, ale wcale nie miała zamiaru zostawiać kołnierzyka w spokoju.

– Właśnie! – przytaknął Niv i ze wszystkich sił uchwycił się odzyskanego wątku: – Masz rację, obraz nie odda kształtu i koloru przedmiotu równie wiernie, jak zdjęcie. Ale mi chodziło o istotę przedmiotu. Przyjaciel zabrał mnie kiedyś do galerii i pokazał prace Mondriana.

– To ten od czarnych kresek, żółtych, niebieskich i czerwonych kwadratów? Van Doesburg malował podobne rzeczy.

– Niepodobne! – Niv aż się zachnął. – I to jest właśnie to, co kultura masowa robi z ludzi! Mondrian chciał wyciągnąć z rzeczywistości najistotniejsze elementy, zredukować zbędny szum i zostawić tylko główne składowe: barwy podstawowe i linie! Nie jakieś tam skosy, ale pion i poziom, bo to one mają znaczenie symboliczne. Jak yin i yang, dzień i noc, mężczyzna i kobieta! Podobne, dopełniające się, ale nie identyczne. Van Doesburg zrobił Mondrianowi to, co kubiści syntetyczni zrobili pracom Picassa i Braque'a. „O, jakie fajne! Bryły posklejane razem wyglądają jak skrzypce. Zróbmy sobie takie!”. I teraz cały świat uważa, że kubizm to zniekształcona przestrzeń. Ale kubizm, w założeniu, miał oddawać przestrzeń możliwie wiernie, poprzez dekompozycję i odwzorowanie za pomocą brył, a nie sklejanie ich na łapu-capu, aż zaczną coś przypominać!

– Nie krzycz na mnie, nigdy nie byłem kubistką! – Daiva się śmiała.

– Przepraszam – zmitygował się Niv. – Ale denerwuje mnie, kiedy ktoś odkrywa coś wartościowego, a potem jest to wy-

paczane przez rzesze tępych naśladowców. Naprawdę, prace Braque'a i Picassa z okresu ich wspólnego mieszkania wyglądają na tle prac innych kubistów jak galopujący rumak w stadzie krów.

– Pokaż mi to – zażądała Daiva, kładąc mu książkę na kolanach. Piersiami oparła się o jego plecy, a brodę położyła na ramieniu. Niv z trudem zebrał myśli.

– Zacznijmy od czegoś trywialnego, wspomnianych „Skrzypiec”.

Kolejne pół godziny spędzili nad reprodukcjami, kręcąc głowami i obracając książkę, żeby dostrzec zakłete w nich kształty. Wreszcie Daiva rzekła:

– Masz rację, że Picasso ciekawie oddawał przestrzeń, to co opisałeś jako „coś bardziej”, ale zobacz, że zaledwie po paru latach doszedł do wniosku, że to nie dość i przeszedł do oddawania czegoś więcej.

– Ale nie porzucił oddawania bardziej!

– Hmm... – Daiva przerzuciła kilkadziesiąt stron w przód i zaczęła studiować późniejsze prace.

– Dlaczego zatrzymujesz się praktycznie wyłącznie przy obrazach nagich kobiet?

– Bo są estetyczne.

– W tej formie?

– Ktoś tu mówił o oddawaniu przestrzeni. Wysił wyobraźnię.

– Nie śmiej.

Na te słowa Daiva pocałowała go w kark, ale nim zdążył zareagować, ponownie oparła mu brodę na ramieniu i w zamyśleniu zaczęła przerzucać kartki. Zatrzymała się dopiero na rozkładówce w samym środku książki i z namaszczeniem odgięła skrzydła. Niv wstrzymał oddech. Wiedział, co zobaczy, jeszcze zanim jego oczom ukazał się czarno-biały koszmar bombardowanego miasta.

– To już wolę nudystki.

Daiva otrząsnęła się z zadumy.

– Coś nie tak?

– Nie lubię tego obrazu. Z punktu widzenia przestrzeni jest oczywiście fenomenalny, ale chyba jest dla mnie zbyt... przerażający.

– Jakoś ci nie wierzę.

Niv odwrócił się i przez kilka chwil spoglądał jej w oczy, szukając chociaż śladu ironii czy złośliwości. Dostrzegł jednak tylko zainteresowanie, więc kontynuował:

– Wpatrywałem się pewnego dnia w ten obraz i zobaczyłem wiele rzeczy, które mi się nie spodobały. Jego symbolika... nie jest dla mnie zbyt wygodna.

– Przecież wiadomo, jaka jest symbolika „Guerniki”. Zło, w tym przypadku byk, walczy z dobrem symbolizowanym przez ginącego konia. Byk zresztą pojawia się też drugi raz, utworzony z nogi konia, dźga go rogami w brzuch, co symbolizuje zdradę.

– Brawo. Widzę, że odrobiła pani pracę domową. Taką symbolikę nadali dziełu krytycy. Ale sam Picasso mówił, zwłaszcza w kontekście tego obrazu, że maluje obiekty dla nich samych. Każdy może im nadać takie znaczenie, jakie chce.

– Protest przeciwko wojnie jest uniwersalny i oczywisty.

– Protest przeciwko wojnie? Jasne. Wszyscy mają protest przeciw wojnie zakorzeniony w podświadomości. A co najmniej wszyscy w naszym kręgu kulturowym powinni mieć.

– A ty? Podświadomie nie uważasz wojny za zło?

– A co ja wiem o mojej podświadomości? – Niv westchnął. – Wiesz, jak mnie wychowywano? Na dobrego Żyda. Nie tak dawno temu cała moja rodzina została wybita niemal do nogi. Ci, którzy przeżyli, bardzo dbali o to, by ich dzieci o tym nie zapomniały. Na dobranoc opowiadano mi o obozach, gettach i gestapowskich katowniach. Ten obraz śnił mi się po nocach, zanim pierwszy raz ujrzałem go na oczy. Horror, w którym jedynym źródłem światła jest naga żarówka. – Postukał palcem w punkt na obrazie.

– Ale czy tak nie było?

– Było. Oczywiście, że było. Ale to tylko jedna strona medalu.

– Nie wmówisz mi, że Holokaust to była wina Żydów!

– Nie mam zamiaru. Chcę ci pokazać, jakie są konsekwencje bycia ofiarą.

Kobieta spoglądała na niego wyraźnie zagubiona. Widać było, że nie spodziewała się takiego obrotu rozmowy. Na jej twarzy malowała się rozterka, którą Niv bez trudu odczytał.

– Spójrz teraz na swoją reakcję. Z jednej strony chciałabyś uciec od tematu, a z drugiej masz głębokie przeświadczenie, że nie wolno przerwać Żydowi, gdy mówi o Holokauście.

Daiva tylko pokiwała głową.

– I to jest właśnie to, co rzuciło mi się w oczy później. Moje własne poczucie, że ogrom cierpień, przez który przeszedł mój naród, zamyka wszelką dyskusję. Ale zobacz, że to dotyczy wszystkich, których kiedyś skrzywdziła historia: czarnych, kobiet, gejów, dzieci alkoholików... Tyle że to stosunkowo młode dzieje i nie zawsze widać regularności.

– Regularności? I dlaczego niby miałyby to być młode dzieje? Niewolnictwo to jedna z podstaw amerykańskiej kultury.

– Ach! Słynna amerykańska wyjątkowość! Świat istniał przed podpisaniem Deklaracji Niepodległości, wiesz? – Uchylił się przed jej markowanym ciosem i podjął poważniej: – Zacząłem analizować naszą historię. Mój naród, po wielu wiekach nieobecności, ponownie zawitał do Ziemi Obiecanej, w międzyczasie zamieszkaną przez innych ludzi. I co? Okazało się, że uprzednie nieszczęścia uprawniły nas do tego, by odebrać ją siłą, mordując bez wyjątku mężczyzn, kobiety i dzieci. Pobili nas, więc teraz Bóg z nami.

– Mówisz o utworzeniu Izraela?

– Nie, akurat teraz o powrocie z Egiptu. Ale dostrzegasz pewien wzorzec. Zostałem skrzywdzony, więc to usprawiedliwia wszystkie moje czyny. Skrzywdziłem, więc usprawiedliwia to wszystko, co można zrobić mnie. Tylko w tym momencie, skrzywdzony staje się krzywdzącym, a krzywdzący skrzywdzonym. „Guernica” tylko pozornie jest czarno-biała.

– Czyli zło ma zostać bez reakcji, bo możemy skrzywdzić krzywdzącego?

– Rolą sprawiedliwości nie jest ani zemsta, ani usprawiedliwienie niegodziwości skrzywdzonego. Inaczej wpadamy w cykl, który widzę na tym cholernym obrazie. Spójrz – wskazał na dolną krawędź reprodukcji – porąbany na kawałki mężczyzna trzyma miecz. Czy to był bohater, który poległ przy obronie swoich, czy może żołdak, który wcześniej tym mieczem zabijał kobiety i dzieci? Matka ze zwłokami dziecka zwraca się do byka, który odwraca

głowę, by wysłuchać jej skargi. Po czyjej stronie opowiedzą się kolejne jej dzieci? A przywołany przez ciebie koń i ukryta głowa byka? Może raczej koń staje się bykiem? A to? Jego rana na brzuchu wydaje się za duża. Umieszczona prawie na środku, wygląda jak rana całego obrazu, otwierana na nowo, raz przez jedną, raz przez drugą stronę konfliktu. A wiesz, co moim zdaniem napędza ten przeklęty krąg? To, co z daleka wydaje się być okiem opatrznosci, a z bliska jest tylko dziełem człowieka, zwykłą żarówką! Jak to mówił Voltaire? Gdyby nie było Boga, trzeba byłoby go wymyślić. Wola boska lub opatrność, prawo lub konieczność historyczna... to są twory, mające tak nas oślepić, żebyśmy zamknęli oczy na dokonywane w ich imieniu okropieństwa.

– Czyli co? Receptą jest nihilizm?

– Raczej umiar. Znam Żydów i czarnych, a nawet niepełnosprawnych, którzy z powodu realnego nieszczęścia, które ich spotkało, mają roszczenia względem całego świata, uważając, że zadośćuczynienie powinno przyjść natychmiast i za wszelką cenę. Problem w tym, że właśnie nie za wszelką cenę. Ale podobnie przesadzić można ze skruchą. Po co to bicie się w piersi za grzechy przodków?

– To źle? Nazywać zło złem?

– Źle, gdy ludzi zaczyna się postrzegać jako złych lub dobrych w oderwaniu od ich czynów. Żeby daleko nie szukać, weźmy takiego Adamsa. W gruncie rzeczy, co my o nim wiemy? Może to człowiek o złotym sercu?

– Złote i na sercu? – parsknęła Daiva. – Chyba masz na myśli jego kartę kredytową.

– Upředzenia, o tym właśnie mówię. Ale na serio. Gdybyś odkryła coś naprawdę wartościowego, coś, co mogłoby dać człowiekowi władzę nad życiem i śmiercią drugiego człowieka... Komu byś to przekazała? Jak odróżniłabyś ludzi, którzy wykorzystaliby to odkrycie dla dobra ogółu, od tych, którzy użyliby go tylko do zdobycia pieniędzy lub władzy? Nie znoszę „Guerniki”, bo jest dla mnie ostrzeżeniem. Nie przebrzmiałym, niewysłuchanym ostrzeżeniem przed drugą wojną światową, ale wciąż aktualnym ostrzeżeniem przed decyzjami, które mogą kogoś popchnąć do cyklu krzywd, który widzę w tym przeklętym obrazie.

Daiva w milczeniu zamknęła książkę i odłożyła ją na szafkę. Usiadła na krawędzi łóżka, plecami do Niva. Ten klął się w duchu, ale znów nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby rozładować zgęstniałą atmosferę.

– To nie tak miało być... – powiedziała Daiva, bardziej do siebie niż do Niva.

– Przepraszam... Jeszcze z nikim nie rozmawiałem o „Guernice” tak, jak z tobą i...

Daiva siedziała przez chwilę zamyślona, po czym bez słowa sięgnęła do wyłącznika światła. Sekundę później przywarła do jego ust, tym razem wpijając się w nie boleśnie. Całowała zachłannie, ssąc i przygryzając mu wargi i język. Jednym ruchem rozerwała wszystkie guziki jego koszuli, po czym chwyciła za dłonie i poprowadziła je wzdłuż swoich boków. Wyślizgnęła się z koszulki, gdy tylko chwycił palcami krawędź materiału. Znów rzuciła się na niego, tym razem okrywając pocałunkami tors i ramiona. Przesunęła dłonią po rozporoku, a sekundę później szarpnęła pasek z taką siłą, że Niv poczuł, jak kłamra wbija mu się w brzuch. Przestał myśleć i pozwolił działać emocjom.

Kochali się mocno i gwałtownie. Niv po raz pierwszy doświadczył miłości z kobietą, która starała się dać mu rozkosz tak intensywnie, jak on jej. Ich walka na tym polu skończyła się satysfakcjonującym remisem, co także było dla niego nowością. Gdy skończyli, opadli spoceni na rozkopaną pościel. Niv gładził włosy Daivy, w myślach dobierając słowa. Gdy jednak zdobył się na wyznanie, nie dała mu dojść do głosu.

– Nic nie mów. Proszę.

Niv uśmiechnął się w ciemnościach. Po prostu mocniej ją przytulił i pogładził po policzku. Zastygł zdumiony, gdy okazało się, że ten jest mokry od łez. Tego się nie spodziewał. Daiva skuliła się na łóżku, odwracając do niego plecami.

– Idź już – wyszeptała. – Mówiłam ci, że nie lubię chrapania.

Nie miał wątpliwości, że żart był tylko na pokaz, ale coś w tonie jej głosu sprawiło, że nie podjął dyskusji. Pocałował ją tylko w ramię, przykrył kołdrą i, nie zapalając światła, odnalazł swoje ubranie. Wciągnął spodnie, a na gołe plecy narzucił marynarkę. Gdy schylał się po buty, dostrzegł leżącą na podłodze otwartą

książkę – pochłonięty Daivą nawet nie zauważył, kiedy ją stręcili. Wpadająca przez okno księżycowa poświata czyniła „Guernikę” jeszcze bardziej wyrazistą. Zaklął w duchu, zatrzasnął książkę i odłożył ją na szafkę.

Jasno oświetlony hotelowy korytarz otrzeźwił go nieco z miłostnego upojenia i wtłoczył myśli w prozaiczne koleiny, gdzie już czekały na niego dwa nierozwiązane problemy. Po pierwsze dwadzieścia godzin temu powinien był wysłać do rodziców SMS-a z informacją, że wylądował bezpiecznie. Na nic zdawały się tłumaczenia, że w dobie światłowodów i radarów oraz żądnych sensacji mediów wiadomość o katastrofie samolotu dotarłaby do widzów, zanim jeszcze uczestnicy nieszczęsnego lotu zdołaliby roztrzaskać się o taflę oceanu. Obiecał wysłać wiadomość dla świętego spokoju i teraz powinien dotrzymać słowa choćby po to, by policja, wojsko, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a na koniec litewska ambasada w Waszyngtonie nie zostały postawione w stan najwyższej gotowości, a on sam nie musiał wysłuchiwać niekończących się wymówek podczas najbliższego rodzinnego zlotu z okazji Chanuki.

Niestety, telefon rozładował mu się jeszcze w trakcie kolacji, a to nieuchronnie prowadziło do drugiego nierozwiązanego problemu – niekompatybilności europejskich wtyczek z amerykańskimi gniazdkami. A Bielawski przypominał! Gdyby Niv nie był w międzyczasie pochłonięty zagadnieniem przystawalności innych międzykontynentalnych złącz, pewnie jeszcze zdołałby coś na to zaradzić, ale teraz, w środku nocy i w nieznanym mieście, nie miał szans ani kupić przejściówki, ani jej pożyczyć.

I pomyśleć, że w domu miał ich całą kolekcję! W tym dwie amerykańskie, australijską, trzy brytyjskie, oraz jedną uniwersalną, wielką jak grejpfrut i pięć razy droższą, ale zakupioną w naiwnej wierze, że to długoterminowa inwestycja. Gdyby chociaż lotniska umieszczały na obudowach swoje logo albo panoramę najbliższego miasta, można by potraktować te ustrojstwa jak magnesy na lodówkę czy inne pseudopraktyczne suweniry i obdarowywać nimi znajomych. A tak tylko kurzyły się w szufladzie, podczas gdy on znowu nie miał gdzie podpiąć telefonu do ładowania.

Po wejściu do swojego pokoju rzucił jeszcze pozbawione nadziei spojrzenie w kierunku gniazdka, sprawdzając, czy przypadkiem nie ma wbudowanego portu USB i... przetarł oczy, po raz drugi tej nocy nie wierząc własnemu szczęściu. Oto w kontakcie tkwiła najprawdziwsza amerykańsko-europejska przejściówka, najwyraźniej pozostawiona przez poprzedniego, równie nierozgarniętego gościa!

Z ulgą podłączył smartfona, wysłał spóźnionego SMS-a i wyciszył urządzenie, gdy skonstatował, że na Litwie od dawna nikt już nie spał. Nie miał ochoty odpierać zmasowanego ataku zawałowanych troską pretensji oraz błahych pytań o przyjemność z podróży i jakość hotelowego wikt i opierunku. Poza tym do śniadania zostały mu tylko trzy godziny i chciał mądrze je wykorzystać. W ubraniu padł na łóżko i trzydzieści sekund później chrapał.

* * *

Ze snu wyrwało go pukanie. Zaspał, więc Daiva przyszła zapytać, czy wszystko w porządku. W drodze do restauracji na chwilę złapała jego dłoń i mocno ścisnęła. Ten jeden gest uspokoił go bardziej niż setka słów.

Usiedli z profesorem Bielawskim. Gdy okazało się, że Daiva, podobnie jak szef Niva, jest miłośniczką narciarstwa, przełamała nieśmiałość staruszka i wspólnie zachwycali się urokami włoskich, francuskich i szwajcarskich kurortów. Niv próbował nieśmiało wspomnieć o Tatrach, ale po tym komentarzu wręcz wyeliminowali go z rozmowy. Teraz w milczeniu siorbał trzecią kawę, zastanawiając się, skąd Daiva ma tyle energii.

Profesor pożegnał się zaraz po posiłku, więc kilka kolejnych godzin obydwójce przedrzemali w ostatnim rzędzie głównej sali wykładowej, regularnie budzeni przez salwy braw. Po oklaskach przychodził czas na pytania z sali. Profesor Sestiere, choć bezczelnie przesyłał każdy kolejny wykład, w tym momencie ożywił się i rwał do mikrofonu. O dziwo mówił z sensem i na ogół kilkoma celnymi uwagami wbijał szpilę zdrowego sceptycyzmu w bezkrytyczny zachwyt publiczności. Prelegentom rzedły miny, gdy orientowali się, że to nie oni stanowią obiecany na wstępie gwóźdź programu, słuchacze zaś z politowaniem kręcili głowami,

zapominając, że w ostatniej publikacji sami użyli zaprezentowanych przed chwilą tez do podparcia własnych badań.

Lunch znów spożywali z profesorem Bielawskim. Po półgodzinie do ich stolika podszedł postawny brunet w skromnym, ciemnym garniturze. Tylko szpakowate włosy na jego skroniach zdradzały, że wszedł już w wiek średni. Reszta aparycji – od nie-nagannej cery po atletyczną sylwetkę – mogłaby stanowić wzór dla niejednego dwudziestokilkulatka.

– Dzień dobry, nazywam się Graham Young – przedstawił się przybysz, uśmiechając się przymilnie. Jego bas przywodził na myśl śpiew wielorybów. – Jestem dyrektorem działu badań i rozwoju InnoMed Pharmaceuticals, a tutaj także pełnomocnikiem prezesa. Bardzo mi miło, że znaleźli panowie dla mnie chwilę.

Bielawski zerwał się z miejsca i z entuzjazmem potrząsnął wyciągniętą dłonią gościa.

– Proszę, proszę siadać. To nam jest bardzo miło, że zaszczycił nas pan swoją obecnością! – Profesor zdawał się nie dostrzegać, że mężczyzna mierzy go wzrokiem akwizytora oceniającego wystrój wnętrza domu. Akwizytora, którego sam nieopatrznie do tego domu wpuścił, myśląc z dawno niewidzianym krewnym.

Niv westchnął w duchu, ale grzecznie się przedstawił:

– Niv Sokol, asystent profesora Bielawskiego.

Daiva wstała i wymówiła się przygotowaniami do wykładu. Niv przez chwilę odprowadzał ją tęsknym wzrokiem, a potem zasępił się na dobre. Za to profesor nadal tryskał humorem.

– Dawno czekałem na okazję, żeby zobaczyć, jak w praktyce działa ten słynny transfer wiedzy z akademii do przemysłu – trajkotał. – Ciekaw jestem, jakie zastosowania mają panowie dla moich helikaz.

– Helikazy są niezbędne w procesach naprawy DNA, nieprawdaż? – Mina Younga wyrażała zainteresowanie graniczące z fascynacją.

– O, nie tylko! Są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów...

Niv zorientował się, że za chwilę wypowiedź profesora zostanie przerwana przez nieprzyjemnie wysoki głos. Od stężenia wody kolońskiej w powietrzu zapiekły go oczy.

– Dzień dobry, doktorze Sokol. Przepraszam, że przeszkadzam, ale zdaje się, że byliśmy umówieni. – W piskliwym głosie intruza pobrzmiwała źle skrywana irytacja.

– Tak, oczywiście! – Niv udał, że nie rozumiał aluzji. – Panowie pozwolą, że przedstawię. To pan dyrektor John Adams z Blue Pill Corporation, pan dyrektor Graham Young z InnoMed Pharmaceuticals. Dyrektor Adams nalegał, więc umówiłem się z nim na krótką rozmowę. Niestety, miało to miejsce dokładnie wtedy, kiedy pan profesor umawiał się z dyrektorem Youngiem, stąd to nałożenie terminów.

– Rozumiem, ale nie musimy przeszkadzać profesorowi w rozmowie z Youngiem. Może przejdziemy do innego stolika? – Adams uśmiechnął się, jednak żyły na jego skroni nabrzmiały złowrogo.

– Mam lepszy pomysł! – Niv klasnął w dłonie. – Ponieważ teraz jest jedyny moment w czasie konferencji, kiedy wszyscy mamy czas, proszę, niech pan usiądzie z nami. Wszyscy jesteśmy z branży, więc pewnie nie będzie problemu, żebyśmy sobie porozmawiali.

Na te słowa dyrektor Young i dyrektor Adams najeżyli się niczym dwa dzikie kocury.

– Doskonale! – Profesor zainterweniował dosłownie ułamek sekundy przed eksplozją. – Właśnie rozmawiamy o potencjalnych zastosowaniach moich modyfikowanych helikaz w przemyśle, więc obecność obydwu panów jest niesamowicie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Cieszę się, że nie będę musiał się powtarzać. – Ponieważ żaden z gości nie zareagował na jego słowa, profesor klepnął Adamsa w ramię i wskazał mu miejsce przy stoliku. – Niechże pan usiądzie! – zakomenderował zniecierpliwiony, bowiem spieszo mu było do jego ulubionej kwestii, którą podjął, zanim jeszcze dyrektor Blue Pill na dobre usadowił się na krześle. – Jak już zostało powiedziane, helikazy są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów. To szalenie istotne enzymy! Jak panowie wiedzą, nici DNA są zwinięte w komórkach po dwie, w formie helisy. Oczywiście nie są one identyczne, a komplementarne, to znaczy...

– To znaczy, że naprzeciw adeniny jest tymina, naprzeciw guaniny cytozyna i vice versa. Panie profesorze, ukończyłem biologię

i nie sędę, żebyśmy mieli czas omawiać takie podstawy – przerwał mu niegrzecznie dyrektor Adams.

– Pan skończył studia? – zainteresował się profesor. – A gdzie, jeśli można spytać?

– Na... uniwersytecie. – Adams, który do tej pory wręcz epatował pewnością siebie, niespodziewanie się speszył.

– A na jakim?

– No... stanowym. – Zamilkł, jednak nieskończenie cierpliwy uśmiech profesora uświadomił mu, że rozmowa nie drgnie, dopóki nie dokończy. – Kojoty – wymruczał wreszcie.

Na twarze naukowców wypłynął wyraz zdumienia.

– Uniwersytet Południowej Dakoty. W Vermillion – podpowiedział usłużnie dyrektor Young, okraszając to pogardliwym uśmiechem.

– Ach. Tam. – Profesor przez krótką chwilę przyglądał się Adamsowi obojętnie, po czym bezceremonialnie zwrócił się do Younga: – Pan także posiada wykształcenie pozwalające z nami swobodnie rozmawiać o szczegółach naszej pracy badawczej, czy woli pan wysłuchać wstępu?

– Mam doktorat, ale z robotyki – odparł tamten z godnością. – Będę więc bardzo szczęśliwy, jeśli pan profesor nie uzna za stratę czasu omówienia sprawy od podstaw.

– Z robotyki? A można spytać, gdzie się pan doktoryzował?

– MIT.

– No! To rozumiem! – ucieszył się profesor, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. – Ale co pan tu robi?

Na twarz Younga wrócił pogodny wyraz.

– Swego czasu zajmowałem się nanotechnologią w kontekście stabilizacji złamań, a w obecnych czasach rozkwitu projektów interdyscyplinarnych...

– Rozumiem! Chciałby pan wykorzystać moje badania nad helikazami podobnie jak Niv! On już zrobił takie małe robociki, które oddziałują trochę z helikazami.

– No właśnie! Chcę porozmawiać o tym, ile panowie sobie życzą za przekazanie nam dokumentacji tych eksperymentów. Mówimy o transakcji wartej dziesiątki milionów dolarów. – Dyrektor Adams próbował wrócić do rozmowy.

Profesor Bielawski skrzywił się, jak gdyby tamten nie zaproponował właśnie kwoty, za jaką większość ludzi gotowa jest zabić własną matkę, a puścił wyjątkowo głośnego bąka.

– A pan, doktorze Young?

– Chcę po prostu porozmawiać o pomysłach badawczych pana profesora oraz doktora Sokola i sprawdzić, na ile są one kompatybilne z tym, co robimy w naszej firmie. Jeśli udałoby się nam zidentyfikować tematy interesujące obie strony, moim zadaniem jest zaproponować panom wspólne projekty. — Przedstawiciel InnoMedu wygłosił to twierdzenie z ocierającą się o lekceważenie lekkością, ale jego spojrzenie pozostawało czujne. Dopiero po kilkunastu sekundach milczenia Bielawskiego kącik rozciągniętych w przyjacielskim uśmiechu ust dyrektora drgnął nieznacznie.

Niv rozważał, czy nie przypomnieć mu, że powinien oddychać. Zwłaszcza że starszy mężczyzna wpadł właśnie w jeden ze swoich transów i trudno było ocenić, kiedy znowu się odezwie. Adams wiercił się niespokojnie od czasu pytania o uczelnię, teraz w jego ślady poszedł Young. Patrzyli pytająco na Niva, ale ten nie miał zamiaru ułatwiać im życia.

– Wie pan co?! — zawołał zniecierpliwiony profesor. — Coś mi się nie zgadza! Wczoraj zdawał się pan zaskoczony, gdy wspomniałem o pracach mojego asystenta.

– Bo ja, panie profesorze, całą noc czytałem artykuły doktora Sokola. — Young wydawał się urażony kryjącym się za twierdzeniem Bielawskiego oskarżeniem. — Moje wcześniejsze doświadczenie z nanobotami, którego zapewne brak większości biologów, pozwoliło mi dostrzec ich prawdziwy potencjał. Dziś rano spytałem prezesa, czy ten temat jest dla nas interesujący i okazało się, że tak!

Niv przypuszczał, że dyrektor łże jak z nut, ale profesor wydawał się usatysfakcjonowany.

– Zatem wracając do naszej rozmowy...

– Dobra — przerwał Adams — niech profesor pogada sobie z Youngiem, w końcu ich wartość księgową ma się do naszej tak, jak wartość helikaz do nanobotów. Może jednak zechce pan, doktorze Sokol, usiąść ze mną i porozmawiać poważnie?

Niv uśmiechnął się do niego złośliwie, udając zaskoczenie.

— Pan chce rozmawiać ze mną? Pan, zdaje się, nie rozumie. Jestem tylko asystentem pana profesora. Moje badania są podstawowe i dalekie od wartości patentowej. O czym ja miałbym z panem rozmawiać? Zanim będziemy myśleli, co w ogóle dalej robić, chcemy usłyszeć opinię kolegów po fachu na temat kilku problemów, jakie się przed nami pojawiły.

Adams popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, ile wart jest uniwersalny lek na raka?

— Ależ ja nie mam leku na raka. Wprost przeciwnie.

— Przecież złożył pan niedawno w ISF¹ projekt zmniejszenia szkodliwości mutagenezy sterowanej nanobotami, prowadzonej symultanicznie na poziomie organizmu! — wypalił Adams niemal z pretensją.

— No tak, złożyłem. Muszę, jak sam tytuł wskazuje, zmniejszyć szkodliwość nanobotów.

Adams i Young popatrzyli po sobie, najwyraźniej zbici z tropu.

— Przecież granty składa się na to, co już się zrobiło! — krzyknęli niemal jednocześnie, nie kryjąc oburzenia. Dopiero teraz Niv dostrzegł, jak bardzo są do siebie podobni. Wzrost, postura, pogardliwy uśmiezek na zaskoczonych obliczach — wszystko jak spod jednej sztancy.

— Też próbowałem ci to wyjaśnić. — Profesor Bielawski westchnął ciężko. — Tylko w ten sposób możesz zapewnić sukces projektu. Nikt o zdrowych zmysłach nie ryzykuje porażki, bo choćby jeden zawalony projekt grozi utratą wiarygodności w oczach grantodawców i, co za tym idzie, finansowania. — Zamilkł, by chwilę później zmierzyć dyrektorów nieprzychylnym spojrzeniem. — Ja mam jednak do panów inne pytanie. Złożyliśmy projekt trzy miesiące temu. Skąd panowie w ogóle wiedzą, co jest w środku? Procedura oceny jest objęta klauzulą poufności.

Young spuścił wzrok, ale na twarzy Adamsa malował się pełen politowania uśmiech.

¹ ISF (Israel Science Foundation) — Izraelski Fundusz Naukowy powołany w 1972 roku celem dystrybucji środków na badania podstawowe.

– Każdy ma swoją cenę, a ponieważ rozmawiamy o uniwersalnym leku na raka, to nie zwracamy sobie głowy głupstwami.

– Ale ja nie mam uniwersalnego leku na raka! – zaprotestował Niv. – A poza tym nawet u myszy, które przeżyją podanie nanobotów, obserwuję paskudne efekty uboczne.

– Myśli pan, że parę efektów ubocznych powstrzyma terminalnie chorego przed zakupem takiego produktu?

– Powtarzam po raz trzeci: moje nanoboty nie likwidują raka.

– Jeśli sytuacja przedstawia się w ten sposób, mogę zaproponować panu wspólny projekt i finansowanie badań – wtrącił spokojnie Young. – Przy naszym wsparciu na pewno szybko udoskonalili pan nanoboty.

– I co ty na to, młody człowieku? – zapytał profesor.

Trzy pary oczu wbiły się w Niva, którego na domiar złego dopadła właśnie fala zmęczenia po nieprzespanej nocy.

– Słuchając panów, cieszę się, że użyłem w opisie projektu ogólników. Chcę przedstawić założenia symultanicznej mutagenyzy środowisku naukowemu, żeby zaprosić kolegów i koleżanki do merytorycznej dyskusji o kolejnych krokach, zanim dostaną to w łapy takie typy, jak wy dwaj – odpowiedział Niv, nie mając ani siły, ani ochoty na dalsze maskowanie pogardy.

Profesor roześmiał się serdecznie. Śmiał się tak długo, aż łzy pociekły mu po policzkach.

– Swoją drogą wiesz, że moi wspaniali koledzy myślą, że ci wszyscy malowani chłopcy z telewizji są tu dla nich? A ci biegają od jednego do drugiego jak kot z pęcherzem i próbują zrozumieć, co się dzieje... Tymczasem wygląda na to, że Sestiere w jakiś sposób też dowiedział się o szczegółach twoich badań i narozrabiał! – Podniósł wzrok na przedstawicieli firm. W jego oczach zagościł nieprzyjemny błysk, choć może była to tylko wilgoć po świeżo uronionej łzie. – Wiedzą panowie, że przez chwilę naprawdę myślałem, że kogoś tu interesują helikazy? Nie wiem tylko, który z panów jest bardziej obszligły. Ten, który wprost mówi, że tu chodzi tylko o kasę i gotów jest za parę groszy wypuścić produkt na rynek, mając gdzieś efekty uboczne, czy ten, który podszywając się pod pasjonata, próbował zjednać sobie starego naiwniaka? – Profesor kręcił głową kilka sekund, aż wreszcie zwrócił się do

Niva: — Idziesz czy zostajesz? Niby pracujesz u nas w Weizmannie, ale wzięwszy pod uwagę twoją nietypową sytuację, znalezienie prawnika, który udowodni, że tylko ty masz prawa do pomysłu, zajmie ci mniej niż dziesięć minut.

— Profesorze! — Niv był szczerze urażony. — Przecież mówiłem, że najpierw chcę poddać to pod dyskusję...

Przerwał mu śmiech Bielawskiego.

— Co pana tak bawi?

— Zobaczysz po wykładzie...

Naukowcy wstali i bez słowa skierowali się do wyjścia, nie bacząc, czy dwóch wściekłych dyrektorów, których zostawili za plecami, rzuci się sobie do gardeł.

Wkrótce profesor wymówił się zmęczeniem i poszedł do swojego pokoju, a Niv odnalazł Daivę. Jego wściekłość na Younga i Adamsa jeszcze wzrosła, gdy zorientował się, że przez nich przegapił jej wystąpienie, ale przynajmniej znaczyło to, że oboje mają już dziś wolne i mogą resztę popołudnia spędzić razem, słuchając wykładów. Niestety bateria w laptopie Niva padła już po godzinie, więc — pozbawieni możliwości robienia notatek — przez jakiś czas świetnie się bawili, grając w statki, zliczając, ile razy każdy z prelegentów użył słowa „wiekopomny” oraz delektując się widokiem pismaków, wciąż usiłujących odkryć obiecana bombę.

W końcu, nie czekając na ostatnie wystąpienia, opuścili centrum konferencyjne i poszli na plażę. Niv z ulgą zdjął buty i rozkoszował się dotykiem nagrzanego piasku na stopach oraz obecnością pięknej kobiety u boku.

Sielankę przerwał dzwonek telefonu. W pierwszej chwili próbował odrzucić połączenie, ale Daiva gestem pokazała mu, żeby odebrał. Sama także wyjęła telefon i odeszła kilka kroków dalej.

— Słucham?

— Doktorze Sokol, naprawdę powinniśmy spotkać się i porozmawiać w cztery oczy.

Niv miał wrażenie, że ze słuchawki roztoczył się zapach wody kolońskiej.

— Proszę pana, nie mam w tej chwili zarówno czasu, jak i ochoty z panem rozmawiać.

– Tu chodzi o nieprawdopodobnie wielkie pieniądze! Zostałem upoważniony, żeby zaproponować panu udział w zyskach, więc niech pan sobie nie pozwala na lekceważenie tej szansy!

– Do ciężkiej cholery, mam was po dziurki w nosie! Jestem zajęty na konferencji, a pan mi tu...

– Teraz to pan przesadza. Na zmianę śpi pan i gra w statki.

– Jak pan śmie?! – Niv zaczerwienił się z wściekłości, chociaż niewykluczone, że częściowo było to spowodowane wstydem i poczuciem winy.

– Ja wiem, że nie jestem konkurencją dla tej pańskiej dupencji, jeśli chodzi o przyjemność z obcowania, ale za kasę, o jakiej mówimy, kupi pan sobie dziesięć takich.

– Mam dość tej rozmowy, rozłączam się.

– Niech pan pomyśli, co mógłby pan jej kupić za pieniądze, które panu oferuje! – Rozmówca błyskawicznie zmienił front. – Myśli pan, że zaimponuje jej pana stypendium wyjazdowe, wynajęta kawalerka i dwudziestoletnie kombi? Kiedy naprawdę łatwo i legalnie może pan uzyskać stabilizację finansową na poziomie jachtu i helikoptera?

– Skąd pan...

– Ja dużo wiem – przerwał Adams, któremu z kolei nie imponowały dobre maniere. – To jak? Zgodzi się pan ze mną spotkać i porozmawiać, zanim Sestiere rzuci pana pomysł na pożarcie tej bandzie zgredów? Zgredów, którzy najpierw publicznie będą prześcigać się w dewaluowaniu pańskiego odkrycia, żeby pokazać, jacy to są mądrzy, a od poniedziałku rano będą miotać się po swoich labach niczym kotka w rui, szukając sposobu na wykorzystanie go dla własnych korzyści!

– Pan chyba nie rozumie istoty nauki. Każdy z tych ludzi, może już posuniętych w latach, harował dla wspólnego...

– Każdy z tych ludzi, doktorze, gdyby tylko odkrył cokolwiek, co ma wartość rynkową, na kolanach i z czapką w zębach przyszedłby po jeden procent pieniędzy, jakie chce panu zaoferować! Tyle że maksimum ich możliwości to publikacja w „Nature”, a i to piętnaście lat temu, bo teraz tylko podpisują się pod pracą takich jak pan!

Niv zatrząsł się z oburzenia.

– Pańskie słowa są równie obrzydliwe jak... jak ta pana woda kolońska!

– Z kolei pańskie nie są merytoryczne, ale chyba zdaje pan sobie z tego sprawę. Skoro już skończyły się panu racjonalne argumenty, jest pan gotów spotkać się ze mną i porozmawiać?

– Zastanowię się – skłamał Niv, mając nadzieję, że przynajmniej na chwilę spławi natręta.

– Doktorze, naprawdę nie ma na to czasu. Musimy porozmawiać przed pana wystąpieniem!

– Powiedziałem, że się zastanowię!

Adams milczał przez kilka sekund, a potem wycedził:

– Czy pan wie, na co się pan naraża? Czy pan wie, jak zdesperowani mogą być ludzie w obliczu zysków, jakie gwarantuje pana metoda?

– Czy pan mi grozi?!

– Nie, ostrzegam. Po koleżeńsku. Jest więcej firm, które są zainteresowane pana wynikami. Wiedzą, że nie będą w stanie biznesowo przebić naszej oferty i mogą być gotowi na podjęcie drastycznych kroków.

– Bardzo dziękuję za troskę, ale nie podoba mi się pański ton. Jeśli nadal będzie mnie pan niepokoił, wezwę policję. Dobranoc.

Niv rozłączył się i trzęsącą się ręką schował telefon do kieszeni. Ze wściekłością skonstatował, że perspektywa zarobienia po raz pierwszy w życiu prawdziwych pieniędzy wzbudzała w nim niezdrowe napięcie. Wiatr doniósł do niego strzępy rozmowy Daivy. Starala się mówić cicho, ale była wyraźnie wzburzona i momentami jej głos podnosił się o kilka tonów. Niv poczuł, jak rumieniec wypełza mu na twarz, gdy usłyszał jej prawie wykrzyczane słowa: „Jasne, takiej biurwie jak ty może się zdawać, że ja się tu objam! Ale wiesz co? Zamiast czepiać się mojej pracy, zajmij się swoimi harmonogramami. Z tym ci idzie lepiej niż relacjami damsko-męskimi!” i dodane po chwili zrezygnowanym tonem: „Jak zawsze wiesz lepiej. Niedługo wracam. Będzie jak chcesz!”

Czyżby Daiva, korzystając z wyjazdu, po prostu odreagowywała kryzys w związku? A nawet jeśli tamten związek ma się ku upadkowi... On mieszka pod Tel-Awivem, a ona w Massachusetts. Niech to szlag trafi! Przydałyby mu się te pieniądze! Usiadł na pia-

sku. Po chwili poczuł, że Daiva siada obok i przytula się do niego bez słowa. Usiłował spojrzeć jej w oczy, ale unikała jego wzroku.

— Wracajmy — zaproponował. — Dziś wieczorem znów jest impreza.

Niecałą godzinę później siedział w sali bankietowej w towarzystwie Bielawskiego, osuszając jeden kieliszek szampana za drugim. Nawet nie mógł spokojnie pogadać z szefem, bo do stolika dosiadło się dwóch doktorantów, sondujących zainteresowanie profesora nowymi postdocami. Wyglądało na to, że nie ma dla nich znaczenia, że są na pierwszym roku i wejdą na rynek najwcześniej za trzy lata.

Niespodziewanie ratunkiem okazał się jeden z wielu kręcących się tu i ówdzie dziennikarzy. Mimo młodego wieku nosił okulary w rogowej oprawie i aż trzy pióra w butonierce, najprawdopodobniej uznając, że to wystarczy, by zaliczyć go w poczet intelektualistów. Założenie to okazało się jednak bardzo na wyrost — w oczach Niva wciąż wyglądał jak pozer, tyle że z kiepskim wzrokiem i dożywotnim zapasem stalówek w kieszeni.

— Panie profesorze — zagadnął dziennikarz — proszę mi powiedzieć, czy orientuje się pan, o jakim odkryciu mógł mówić profesor Sestiere w swoim wczorajszym wystąpieniu? Ja rozumiem, że najpóźniej do jutra wszystko się wyjaśni, ale...

— W redakcji panu nie powiedzieli? Zwykle wysyłają na konferencje ludzi lepiej zorientowanych w tematach naukowych.

— Profesorze, ja również interesuję się nauką!

— A konkretnie jaką dziedziną?

Dziennikarz przez chwilę był wyraźnie zbity z pantałyku, jednak nawyki zawodowe szybko wzięły górę. Wypreżył się z dumą i z udawaną pewnością siebie wygłosił:

— Powiązaną z biologią, bo psychologią. — Hardym wzrokiem odpowiedział na powątpiewające spojrzenie starszego mężczyzny.

— Nie mam może w tym zakresie tytułu, ale proszę mi wierzyć, że to bardzo istotne w mojej pracy. Ale wracając do tematu zapowiedzi profesora Sestiere...

— Myślę, że jest to coś związanego z DNA. Badane przeze mnie helikazy na przykład potrafią je rozwinać.

— A na czym polega epokowość odkrycia pana profesora?

– Proszę pana, epokowość odkryć ocenia Królewska Szwedzka Akademia Nauk i Instytut Karolinska, ewentualnie historia, ale ponieważ historia jest nauką humanistyczną, a ja jestem przyrodnikiem, mogę panu najwyżej opowiedzieć, czym się zajmuję. – Profesor podniósł palec, wziął głęboki wdech, ale zamiast rozpocząć wykład, wskazał na wpatrujących się w niego doktorantów. – Albo zrobimy jeszcze inaczej! Mamy tu dwóch młodych naukowców, aspirujących do pracy w moim zakładzie. Magistrze... – profesor nachylił się, żeby odczytać plakietkę z nazwiskiem jednego z nich – panie Unique, niech nam pan wyjaśni, jaka jest rola helikaz w komórce.

Młody człowiek z przejęcia aż zachłysnął się kawą.

– Helikazy? No, to... to zależy, które... One... one powstały u... – tu nastąpiło niewyraźne mamrotanie w kubek – i u człowieka są bardzo ważne, bo...

Profesor zlitował się nad dukającym doktorantem:

– Helikazy, jak wspomniął pan magister, są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów...

– To może zadam pytanie inaczej. – Dziennikarz stłumił ziewnięcie. – Czy jest to coś nowego?

– Nie. To raczej dość stare ewolucyjnie procesy.

– Dobrze, dziękuję za poświęcony mi czas.

Studenci zmyli się równie szybko, jak dziennikarz.

– No! Jakiś problem, młody człowieku? Coś nie widzę twojej koleżanki. – Profesor dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz Niva. – Cóż, nie moja sprawa.

– Wydzwania do mnie ten typ z Blue Pill. Zaczyna mnie straszyc i...

Niv zaniemówił, podobnie jak połowa obecnych na sali mężczyzn, gdy próg przekroczyła Daiva. Podpłynęła do barku i po chwili z dwiema szklankami zmierzała do ich stolika. Profesor Bielawski powiedział coś, czego Niv nie dosłyszał i elegancko się ulotnił, po drodze kłaniając się kobiecie.

– To miejsce jest wolne? – spytała poważnie. – Przepraszam, że musiałeś czekać, ale nie uwierzysz, ile czasu potrafi zająć makijaż komuś tak niewprawnemu jak ja.

Niv wstał, żeby podsunąć jej krzesło. Siadając, syknął z bólu. Daiva postawiła przed nim szklankę.

– Trzymaj. To ci pomoże.

Niv jednym haustem wypił prawie połowę. Nie lubił whiskey, a ta na dodatek zostawiała wyjątkowo paskudny posmak w ustach.

– Tego się nie da pić. – Z obrzydzeniem przyjrzał się szklance.
– Chyba przyniosę jeszcze jednego szampana.

– Męska wdzięczność. – Daiva westchnęła. – Wszyscy jesteście tacy sami. Może jednak posiedzimy tu choć chwilę, zanim pójdziemy cię leczyć?

Uśmiechnęła się wesoło, widząc rumieniec wypełzający mu na twarz. Po chwili zorientowała się jednak, że nie jest to rumieniec zawstydzenia na myśl o przyjętej noc wcześniej kuracji, a raczej rumieniec niezrozumiałego dla niej gniewu. Przez kilka chwil czekała na wyjaśnienie, potem jednak prychnęła jak rozdrażniona kotka.

– Dobrze, że konferencja trwa tylko trzy dni, bo widzę, że to i tak za dużo. No, ale w końcu są małżeństwa, które trwają krócej.

Niv wbił wzrok w podłogę. Tekst o „wszystkich takich samych facetach” przywołał wspomnienie jej rozmowy, i teraz ledwie ugryzł się w język, żeby nie spytać, czy to o swoim małżeństwie mówiła.

Daiva ostentacyjnie odwróciła się do niego bokiem i założyła nogę na nogę.

– Świetny pomysł! Zrobmy sobie ciche dni! – Zaczęła bębnić palcami po stole.

Niv wiedział, że jeśli się nie odezwie, Daiva po prostu wstanie i wyjdzie, ale wciąż nie wiedział, jak ma poruszyć gryzącą go sprawę.

– Słuchaj, o co ci chodzi? – Spróbował niezręcznie odbić piłeczkę i kupić sobie trochę czasu.

– O co mi chodzi?! – Daiva z niedowierzaniem wskazała palcem na siebie. – O co mi chodzi?! Siedzisz tu nachmurzony, co najmniej jakby cię ominął Nobel! Z tego co zauważyłam, w ten nastrój wpadłeś na naszym spacerze, co może znaczyć, że dąsas się na coś związanego raczej ze mną niż z Noblem. Z jakichś względów nie chcesz po prostu powiedzieć, co cię ugryzło, trudno. Ale bądź tak dobry i daruj sobie pytanie, o co mi chodzi!

Prostota i trafność przedstawionej diagnozy zachwyciła racjonalną część umysłu Niva, jednak wstyd i szampan zmieszany z whiskey spowodowały, że z jego ust wypłynęła urażona duma.

– Mam dać sobie spokój z pytaniami, tak?! – wyszczał. – Bo po co mam narażać się na kłamstwa, tak?! Racja! Gdy patrzę, czym karmi was Hollywood, wcale mnie nie dziwi, że priorytetem jest dla was dobra zabawa przy każdej nadającej się okazji. A jak wiadomo z telewizji, najlepiej bawić się z wykorzystaniem dupy! – Nagle urwał, widząc szok na jej twarzy. W uniesieniu nie zauważył, że z każdym słowem podnosił głos i teraz kilkanaście osób spoglądało na nich z mieszaniną rozbawienia, litości i pogardy. Przerażona Daiva rozglądała się na boki, a powiększający się na jej twarzy rumieniec sugerował, że najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Zaproponowałam tylko, żeby pan doktor pytanie „O co chodzi?” zadał sobie, a nie mnie! – Jej szept ciął ciszę równie skutecznie, jak wcześniej rwał ją jego krzyk. – A teraz pan doktor wybacz. Mam poduszkę do zapłakania.

Daiva zasłoniła usta dłonią i skierowała się do wyjścia. Zbaraniały Niv wpatrywał się w jej przygarbione plecy. Rozejrzał się wokół, szukając wsparcia na twarzach zgromadzonych – na próżno. Racjonalna część jego umysłu popchnęła go do drzwi, za którymi zniknęła Daiva. Mijając jeden ze stolików, usłyszał, jak kilku młodzieniaszków zastanawia się głośno nad swoimi szansami na jej pocieszenie i wściekłość znów wzięła górę.

Skierował się do wyjścia z budynku. Poszedł na plażę i szedł wzdłuż oceanu tak długo, aż światła hotelu zmieniły się w punkciki, nie większe od migających w górze gwiazd. Usiadł i objął kolana rękami. Nie wiedział, czy bardziej wścieka się na siebie, czy na Daivę. Zastanawiał się, czy naprawdę coś ukrywała, czy też sam błędnie zinterpretował podsłuchane strzępy zdań. Łzy, które dostrzegł w jej oczach, nim odwróciła się od niego, wyglądały na prawdziwe. Z drugiej strony jednak nie została porozmawiać, tylko uciekła... Uciekła? Nie – wyszła, bo zachował się jak idiota. Cud, że go nie spoliczkowała. Dlaczego zawsze ranił kobiety, na których mu zależało?

Na domiar złego poczuł wzbierającą falę mdłości, i to chyba nie tylko za sprawą wypitego alkoholu. Czyżby bufet zaserwował mu

coś nieswieżego? Jeśli spędzi następne dni, walcząc z grypą żołądkową, nigdy już nie będzie miał szansy przeprosić Daivy.

Tak pogrążył się w uzalaniu nad sobą, że kroki za plecami usłyszał, gdy było już za późno.

* * *

Obudził go smród lizolu, tak intensywny, że zdawał się wżerać w mózg. Gwałtownie otworzył oczy. Po chwili świat wokół przestał wirować, a po kilku kolejnych ustabilizował się na tyle, by Niv ponad wszelką wątpliwość mógł stwierdzić, że znajduje się w zamkniętym pomieszczeniu. Widział jedynie gołą żarówkę, wiszącą jakiś metr nad jego twarzą. Chociaż tliła się ostatkiem sił, oślepiła go na tyle skutecznie, że dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że stoi nad nim dwóch roślących mężczyzn w kominiarkach.

Na ich widok szarpnęła się, ale ręce i nogi miał przywiązane do dziwnego mebla, nieodparcie kojarzącego się z fotelem dentystrycznym. Wetknięty w usta knebel stłumił krzyk.

Mężczyźni w kominiarkach zniknęli z pola widzenia, a potrącona przez jednego z nich żarówka kołysała się teraz pod sufitem, na przemian to oświetlając, to pogrążając w ciemności ścianę z blachy falistej. Strach powoli ustępował miejsca dziwnemu poczuciu odrealnienia, a także narastającej rezygnacji. Niv, pozbawiony głosu i możliwości ruchu, poczuł się bezradny jak nigdy dotąd. Ale więzy, ból głowy i nasilające się mdłości były niczym w obliczu czarnych myśli, które kłębiły mu się pod czaszką, podpowiadając, że jego życie właśnie rozpadło się na kawałki.

I pomyśleć, że wszystko przez te przekłete robociki! Nie powinien ich nazywać nanobotami, tylko rakobotami. Pieprzyć myszy, u których przyspieszyły rozwój nowotworów, pieprzyć te, u których go wręcz wywołały! Właśnie rakowaciało całe jego życie. Skupiony na tym utopijnym projekcie, stracił wszechstronność, z której niegdyś był tak dumny. Profesor Bielawski dziś wyśmiał go, kiedy powiedział, że chce je pokazać środowisku naukowemu. Czyżby już wcześniej zrozumiał, jak idiotyczny był to pomysły?

Życie prywatne prezentowało się jeszcze gorzej. Przeważnie był sam, a jeśli już z kimś się wiązał to na krótko, bo zaraz coś par-

taczył. Tak jak i tu – poznał cudowną kobietę, ale śmiertelnie ją obraził, karmiąc się jakimiś chorymi domysłami.

A teraz? Tkwi tu związany jak baleron, ledwie może poruszyć dłońmi i jest bliski zadławienia się własnymi wymiocinami.

Z drugiej strony... Czy rzeczywiście zasługiwał na lepszy los? Czy to robociki były wszystkiemu winne? Może po prostu to on nie potrafił niczego zrobić dobrze? Może Bielawski przyjął go z litości? Jego rodzice też się cieszyli, kiedy dostał posadę w Tel-Awiwie – nawet oni mieli go dość.

Szarpnął się desperacko, ale jedynie wzmógł ból poranionej stopy, przypominający mu, że wciąż miał na sobie te przekłete buty, na zakup których musiał zapożyczyć się u kolegi.

Chciał zawyc z rozpacz.

– No, zaczynamy! – Za plecami Niva rozległ się nienaturalnie metaliczny głos. Oparcie fotela natychmiast poleciało w dół, w efekcie czego teraz leżał z głową poniżej bioder. Czarne myśli pierzchły niczym spłoszone wrony, a ich miejsce ponownie zajął strach.

Niższy z mężczyzn, wyglądający jak średnio wypasiony niedźwiedź, stał nad nim ze szmatą ociekającą wodą. Przykrył materiałem twarz Niva i swoją wielką łapą docisnął mu głowę do oparcia. Zanim Niv zorientował się, co się w ogóle dzieje, struga wody wyłała mu się na twarz, zalewając po kolei nos, zatoki i gardło.

Organizm zareagował błyskawicznie – paniką. Niv momentalnie zaczął się dusić... dławić... tonąć! Szarpał rękami i nogami, wyginał plecy, wykręcał głowę, ale w żaden sposób nie mógł uwolnić się od brutalnego napływu gęstej niczym smoła cieczy, odcinającej wszelki dopływ powietrza. Próbował ją wypluć, wykrztusić, połknąć, ale było jej po prostu za dużo i z każdą chwilą coraz szczelniej oblepiała mu twarz i wewnątrz czaszki. Struga za strugą, jej zimne macki sięgały coraz głębiej w każdą możliwą szczelinę i było kwestią sekund, gdy ostatecznie wedrze się do płuc, by wyjąć je z resztek powietrza!

Gdzieś tam tliła się bardziej racjonalna myśl, że grawitacja jest jednak po jego stronie, że leżąc w tej pozycji, nie ma prawa się utopić. Jednak dla oszalałego zwierzęcia, które zawładnęło jego umysłem, był to argument oderwany od rzeczywistości równie

mocno, jak naukowy postęp dla myszy zdychającej na indukowany nanobotami nowotwór. Rzeczywistość była tu i teraz – w zalanych drogach oddechowych, płucach pękających od dwutlenku węgla i bezsensownej walce z żywiołem, której nie miał szans wygrać.

Wreszcie woda przestała płynąć, ucisk na czole zelżał, a z twarzy zniknęła przekłeta szmata. Niv błyskawicznie przekreślił głowę na bok. Krztusił się, jednocześnie zachłannie chwytając drogocenne powietrze.

Gdy wreszcie utwierdził się w przekonaniu, że znowu może swobodnie oddychać, uczucie ulgi niemal wprawiło go w ekstazę. Radość nie trwała jednak długo, wyparta przez gorzką świadomość, że jego sytuacja nie uległa żadnej poprawie, i że w każdej chwili któryś z dżentelmenów w kominiarkach może uznać, że czas na powtórkę. Psia wdzięczność, z jaką spoglądał dotąd na swojego zbawcę – tego, który kilka chwil wcześniej tak wspaniałomyślnie zabrał mu łapę z czoła – przerodziła się w bezsilną nienawiść. Próbował się jej uchwycić, ale wkrótce i ona rozplynęła się w napierającym ze wszystkich zakątków ciała i umysłu strachu.

Ze łzami przerażenia patrzył na oprawców, próbując przewidzieć ich następny ruch. Przecież nie robią tego dla zabawy. Przecież muszą mieć jakiś cel!

Pochłonięty grozą, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że coś do niego mówią:

– ...bowiem nie sprawia mi przyjemności patrzeć na ludzkie cierpienie. – Głos wyższego mężczyzny okazał się modyfikowany elektronicznie, ale nawet to nie było w stanie ukryć faktu, że kłamie. – Jednak dwadzieścia sekund to trochę za mało. Kontynuuj.

Niv zawył przez knebel.

Niższy mężczyzna – zamiast wykonać polecenie – uważnie przyglądał się więźniowi. Choć kominiarka odsłaniała tylko usta i oczy, Niv był pewien, że dostrzega na jego twarzy troskę.

– Nie lepiej najpierw zadać mu pytania? – Jego angielski po-brzmiewał twardym, słowiańskim akcentem.

Niv nerwowo pokiwał głową z aprobatą, ale nikt tego nie zauważył.

– Pytałem cię o zdanie? – W elektronicznym głosie słyszalny był złowrogi warkot.

– No. Kiedyś mnie pan zatrudniał.

– O! Jednak nie zapomniałeś, kto tu zatrudnia, a kto jest zatrudniany. Lej.

– Wygląda, jakby chciał nam coś powiedzieć.

– To powie za chwilę.

– Albo się załamie. Nie wygląda na twardziela.

– Mam uwierzyć, że dwadzieścia sekund z łbem pod wodą wystarczy? Nawet ja wytrzymam minutę.

– To nie to samo.

Wysoki popatrzył nienawistnie na Niva i burknął przez zaciśnięte zęby:

– Gdyby się bał, trzęsłyby mu się ręce.

– Po prostu spytaj pan! – Jego kompan powoli tracił cierpliwość. – Polać zawsze zdążymy.

Drugi porywacz wyraźnie się wahał. Niv desperacko próbował dać im do zrozumienia, że idą w dobrym kierunku. Na jego twarzy pojawił się niepewny grymas wdzięczności. Przedwcześnie. Wysoki rzucił okiem na Niva i wycelował weń palcem.

– No spójrz, młocie, na jego oczy! Nawet on się z ciebie śmieje. Lej!

Niższy mężczyzna pokręcił głową, ale schylił się do stojącego na podłodze wiadra i wyciągnął szmatę. Gdy ją wyżywał, marmotał pod nosem przekleństwa, które ostatecznie zdradziły jego rosyjski rodowód. Przerażony Niv wpatrywał się w jego ciepłe, brązowe oczy, nim szmata całkowicie przysłoniła mu widok. Nie mógł uwierzyć, że znowu chcą mu to zrobić. Przecież się stara! Przecież chciał współpracować!

Tym razem woda spływała całą wieczność. Lała się wartkim strumieniem tak długo, że przerażenie Niva zmieniło się w obłąd.

Całe dotychczasowe życie zniknęło bez śladu – nawet nie byłoby w stanie przypomnieć sobie własnego imienia. Istniał tylko żywioł, ból i pewność, że jeśli w tej chwili nie zaczerpnie oddechu – umrze. Czas mijał, ból narastał, a woda nie przestawała płynąć. Wreszcie i woła życia dała za wygraną. Ciało nadal instynktownie zmagало się z żywiołem, ale umysł pragnął już tylko jednego – by woda w końcu dostała się do płuc i zakończyła mękę.

Ktoś gwałtownym szarpnięciem zdarł mu szmatę z głowy i brutalnie wyciągnął knebel, ale Niv był już tak otępiały, że nawet nie miał siły wypluć wody. Dopiero kilka nagłych uciśnień klatki piersiowej przywróciło naturalne odruchy. Między kolejnymi spazmami dosłyszał zgrzytnięcie elektronicznego głosu:

– Trzydzieści pięć sekund? Mówiłem, żeby go trzymać minutę!

Oko Niva zarejestrowało, jak Rosjanin zaciska i rozluźnia pięści, ale jego mózg nie potrafił zinterpretować tego gestu. Podobnie jak wyrazu oczu, z jakim tamten wpatrywał się w jego otępiałą z przerażenia twarz.

– *Gawno.*

– Co?

– Gównu pan wiesz o torturach.

– Co tu wiedzieć?! – wrzasnął wysoki, zapluwając się z wściekłości. – Masz go polewać i tyle! Jak na moje możesz nawet na niego naszczać!

– Lepiej zadawaj pan pytania.

– A jeśli jeszcze nie jest gotowy?

Rosjanin poruszył jakąś wajchę i oparcie fotela powędrowało z powrotem do pionu.

– Widzisz pan, ja przez to przechodziłem. Za pierwszym razem, po pierwszej rundzie zdradziłbym matkę. Po treningu utrzymywałem jeźor za zębami przez trzy. Myślisz pan, że ten tu jest twardszy od komandosa?

– Zobaczymy. Doktorze Sokol, słyszy mnie pan?

Twarz Niva pozostawała niewzruszona. Pustym wzrokiem wpatrywał się w żarówkę, jakby było mu obojętne, czy znowu zaczną go topić, czy poklepią po ramieniu i wypuszczą do domu.

– Widzisz? Twardziel.

– *Gawno.* – Rosjanin pomachał przed oczami więźnia swoją niedźwiedzią łapą. – Widziałem to już. Większość gości doprowadzonych do tego stanu lądowała potem w psychiatryku.

– Co mi tu pierdolisz? Przecież udaje! Sokol! Albo będziesz gadał, albo naprawdę cię utopię!

Brak reakcji tylko rozjuszył męczyczynę.

– Do dupy z tym cackaniem się. Starczy tych twoich zabaw! Pieprzona amatorszczyzna... – Odepchnął Rosjanina od fotela

i popatrzył z góry na skrępowanego więźnia. — Czas na zwykły wpierdol. Sokol, słyszysz? Albo zaczniesz gadać, albo poczujesz prawdziwy ból!

Niv nie słyszał. Zauważył tylko, że jakiś czarny kształt przesłonił jedyne źródło światła. Ale w końcu... jaką to robiło różnicę?

— Widzisz pan... — Rosjanin odwrócił głowę Niva i wskazał rozmówcy oczy więźnia, w których praktycznie nie było widać tęczywek. — Ten gość odpłynął do lalandii. Nawet pana nie słyszy.

— Wystarczy gadania! Przypierdol mu, tylko tak, żeby jutro rano nie było śladów.

Rosjanin drgnął i z niepokojem zerknął na Niva, ale zdawało się, że ten nie pojął ostatnich słów.

— Możemy na chwilę wyjść? — spytał na pozór łagodnie, lecz coś w jego tonie sprawiło, że wyższy mężczyzna nie zaprotestował.

Rozległ się zgrzyt unoszonych drzwi, a pomieszczenie wypełniło chłodne, nocne powietrze. Mężczyźni zniknęli w ciemnościach. Wkrótce strzępy ostrej wymiany zdań doleciały do uszu Niva. Słów najemnika nie można było rozpoznać, ale elektronicznie modyfikowany głos rezonował z cienką ścianą garażu.

— Nie dramatyzuj. Powiedziałem, żebyś nie zostawiał śladów, a nie, że chcemy go wypuścić.

— ...

— Licz się ze słowami, prostaku! Niech myśli, że chcemy po jego śmierci upozorować wypadek, dlatego tak się z nim cackamy. A nawet jeśli nie, to odrobina niepewności ułatwi nam właściwe przesłuchanie.

— ...?

— Nie mam zamiaru wierzyć w ani jedno jego słowo, dopóki nie przyjedzie wariograf.

— Co, kurwa?!

— Przestań się drzeć. Wariograf. Takie urządzenie. Nie stać nas na ryzyko, że okaże się twardszy niż ci twoi kolesie z survivalu.

— ...!

— Survival, Specnaz, jeden pies. Facet śmieje ci się w twarz, a ty się nad nim rozczulasz.

— ...

– Bez przesady, codziennie oglądam takie w firmie. Przy rozdzielaniu zadań.

– ...?

– Widziałeś kiedyś, jakie oczy robią małe kotki, jak je wrzucić do jeziora? Moi pracownicy robią takie same.

– ...?!

– Kotki nie są teraz ważne! Ważne jest wrażenie tonięcia w gównie. Ta twoja mokra szmata to przy tym chłodny prysznic w upalny dzień.

– ...!

– Jak to spieprzyłem? Że się stresuje? To chyba dobrze?

– ...

– Wiesz, ile zapłaciliśmy za ten wariograf?! Mamy gwarancję producenta! A teraz zamknij się i patrz, jak powinno się to robić.

Kilka sekund później drzwi znowu zgrzytnęły i mężczyźni weszli do środka. Wyższy wyjął mokrą szmatę z wiadra i niedbałym ruchem narzucił ją Nivowi na twarz, ale ten szarpnięciem głowy natychmiast strząsnął ją na ziemię.

– Mówiłem, że udaje? Mówiłem? No, Sokol, teraz to się dograłeś!

Mężczyzna podniósł szmatę i nachylił się nad Nivem, który zaczął przekręcać głowę na boki. Uciekał nie tyle przed zniestanym gałganem, ile przed duszącym smrodem lizolu, który wionął od oprawcy. Lizolu i czegoś jeszcze, czegoś znajomego, czego jednak w tej chwili nie był w stanie zidentyfikować. Odór sprawił, że znowu powróciły mdłości.

– Leż spokojnie... bo pogadamy... inaczej – wycedził przez zaciśnięte zęby wysoki, próbując jedną ręką przytrzymać szczękę Niva. W szamotaninie coraz bardziej napierał na więźnia, przyniatając go własnym ciężarem. Komfortu nie poprawiał też wyraźny wzwód napastnika, który Niv czuł na swoim brzuchu. – Ożeż ku...!

Oprawca odskoczył jak oparzony, potrącając wiadro. Rosjanin patrzył zdezorientowany, to na powiększającą się kałużę, to na swojego szefa, z niedowierzaniem w oczach ściskającego własną dłoń.

– Ugryzł mnie, skurwiel! – Spojrzał wściekły na Niva. – Kurwa! Teraz to dopiero masz przesrane!

Zrobił krok w przód, jednocześnie sięgając ręką za plecy. Rosjanin sekundę za późno zrozumiał znaczenie tego gestu. Rzucił się w kierunku rozjuszonego mężczyzny tuż przed tym, gdy drugie uderzenie kolbą pistoletu pozbawiło Niva przytomności.

* * *

Niv ocknął się z potwornym bólem głowy i ostrym pieczeniem lewej skroni. Powoli, obraz po obrazie, powracały wspomnienia, odległe jak ze snu. Bankiet, pusta plaża, szum morza... woda...

Wzdrygnął się jak rażony prądem, gdy uderzył weń cały ładunek emocji skojarzonych z tą myślą.

Przez jakiś czas tylko się trząsał, oddychając spazmatycznie, dopóki iskierka samoświadomości nie zatliła się na powrót. Uczepił się jej i spróbował wyrównać oddech. Po kilku wdechach mięśnie przestały drżeć, a strach nieco zelżał. Powrócił ból głowy, ale przynajmniej znów mógł myśleć racjonalnie.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Scenografia nie uległa zmianie: falista blacha, drzwi, brudna żarówka. Nawet tkwił w tej samej pozycji, starannie przywiązany do fotela. Koszmar trwał.

Wyglądało na to, że ostrzeżenie Adamsa o firmach nieprzebiegających w środkach było słuszne. Nie tylko nie zawahali się przed porwaniem, ale też przed torturami. Zastanawiał się, czy kilka lat pracy naukowej było warte jego zdrowia i życia. W końcu doszedł do wniosku, że jedyne, czego naprawdę teraz pragnie, to wyjść bez szwanku z tej sytuacji.

Problem w tym, że całe zamieszanie było wynikiem nieuzasadnionej nadinterpretacji. Jak miał spełnić żądania porywaczy, skoro uniwersalny lek na raka nie istniał, a wszystkie dotychczasowe badania wskazywały, że prędko nie powstanie? Nawet jeśli da im dostęp do swoich danych, pomyślał, że próbuje ich przechytrzyć. Niby mają zamiar go wypuścić, ale diabli wiedzą, do czego się posuną, jeśli dojdą do wniosku, że skierował ich w ślepą uliczkę. Rozwiązaniem mogło być pokazanie tego, co do tej pory wszystkim umykało, ale w to po prostu nie uwierzą. Albo, co gorsza, uwierzą i znajdą sposób, żeby wypuścić nanoboty na rynek.

Z zamyślenia wyrwał go terkot mechanizmu drzwi. Zamknął oczy, gdy usłyszał kroki oraz nieznanego męskiego głosu.

– Mówiłem już, znam podstawy obsługi sprzętu, ale myślałem, że będzie pan miał przygotowany zestaw pytań. Ja mam tylko dopilnować, żeby maszyna poprawnie czytała reakcje delikwenta, a następnie podsumować wynik.

Spod przymkniętych powiek Niv widział, jak niski, krępy facecik ustawia obok fotela przenośny stolik i kładzie na nim jakieś przyrządy. Mężczyźni w kominiarkach zerkali mu przez ramię, gdy rozwijał kable i podłączał wtyczki.

– O, tu jest znacznik. – Grubas wskazał jakiś element na obudowie. – Najpierw ustalamy poziom bazowy, zadając pytania, na które znamy odpowiedzi. Potem zadajemy pytania właściwe i z mniejszym lub większym prawdopodobieństwem możemy określić, czy mówi prawdę.

– Jak to: „prawdopodobieństwem”?! – Wysoki prychnął z pogardą. – Mnie interesują fakty, nie jakieś gdybanie!

Rosjanin przewrócił oczami, ale powstrzymał się od komentarza.

– No... to zależy od tego, jak dobrze udało nam się skalibrować sprzęt i jak silnie reaguje przesłuchiwany – tłumaczył nerwowo spec od wariografu. – To znowu zależy od różnicy w poziomie stresu między kłamstwem a prawdą. Dodatkowo im mniej jest zestresowany na początku przesłuchania, tym łatwiej wykryć różnice.

– To ma znaczenie?

– Ależ oczywiście! Chodzi o odchylenie od poziomu bazowego. Im ten jest niższy, tym lepiej widać różnicę. Niech pan spojrzy. Zakładamy, że delikwent stresuje się, gdy kłamie, co widać po intensywniejszym poceniu. O, tu – wskazał na punkt na ekranie – we wzoście tętna tu, po rozszerzeniu źrenic... Oj! – Przerwał, solidnie szturchnięty przez Rosjanina.

– *Dobryj wieczier, doktor Sokol* – mruknął mężczyzna, który najwyraźniej dostrzegł uchylone powieki Niva.

Niski facecik, spanikowany, odwrócił się plecami, wyszarpnął z kieszeni kominiarkę i zaczął naciągać ją na twarz. Najwyższy z mężczyzn natychmiast ustawił się w taki sposób, żeby zasłonić technikę.

– Jak widzisz – zwrócił się do Niva – mamy tu aparaturę, dzięki której i tak dowiemy się od ciebie tego, co chcemy wiedzieć.

– A powiecie mi wreszcie, co chcecie wiedzieć?! – wyduśił Niv z wysiłkiem. Pomimo podtapiania usta miał wyschnięte na wiór.

Twarz wysokiego skrywała kominiarka, ale Niv był pewien, że poczerwieniała ze złości. Mężczyzna otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz Rosjanin powstrzymał go kuksańcem. Wysoki posłał mu wściekłe spojrzenie i warknął:

– Nie pozwalaj sobie! Wiem, co chciał zrobić! – Ponownie zwrócił się do Niva: – Bardzo sprytne, doktorze, ale najpierw parę innych pytań. Jednak nim do tego przystąpimy, chciałbym oznajmić kilka rzeczy. Nic panu nie grozi. Jeśli odpowie pan na nasze pytania, jutro będzie pan z powrotem w hotelu.

Niva zaniepokoiła nagła zmiana frontu. Jeszcze niedawno Rosjanin był wściekły na zdradzenie tej informacji. Chyba że chcieli go uspokoić przed badaniem na wariografie.

– Bzdura. Chwilę temu zamierzaliście mnie utopić!

– A jak myślisz, czemu nie kazałem ci po prostu przyłać?

– Nie wiem. – Niv wzruszył ramionami, a raczej starał się to zrobić. – Może chciałeś się tym zająć osobiście?

– To też – wysoki zazgrzytał zębami – ale przede wszystkim chodzi mi o to, żeby jutro nikt nie uwierzył, gdybyś był tak nierozsądny, żeby komukolwiek opowiadać o naszym spotkaniu. Po drugie zależy mi na tym, żebyś kontynuował prace. Żal byłoby zmarnować przez głupi upór taki... intelekt.

– Jaki upór?! – warknął Niv, czując narastające zniecierpliwienie.

– Nieudzielania odpowiedzi.

– Kurwa! Człowieku! – zakrzyknął ze złością więzień. – Na jakie pytanie?! Czego wy w ogóle ode mnie chcecie?!

– Masz mnie za idiotę?! Naprawdę nie wiesz?

– A spytał mnie ktoś o coś?

– A musiał?! – zbulgotał gardłowo oprawca, a jego zamaskowana gęba zawisła Nivowi nad twarzą, roniąc krople śliny z każdym wycedzonym przez zęby słowem. – Że niby ile wartościowych rzeczy wiesz, panie pseudomędrku? Że niby kto ty, kurwa, jesteś? Gołodupcem jesteś! Zasaraną dziurą w dupie! I powiesz nam, co trzeba. Wiesz czemu? Bo sam doskonale rozumiesz,

że takie gówno jak ty na chuj potrzebuje tej wiedzy. Że i tak nie umiałbyś na tym zarobić jebanego centa!

Wysoki wyprostował się, wyraźnie z siebie zadowolony. Popatrzył na kompanów, jakby szukając na ich twarzach podziwu albo aprobaty, ale technik wyglądała na zmieszanego i unikał jego wzroku, a Rosjanin zajęty był rozplątywaniem kabli wariografu.

– Szkoda gadać po próżnicy – zakończył już nieco spokojniejszym tonem. – Zaczynamy. Te, techniczny!

Grubasek podszedł do Niva i zaczął montować elektrody. Jego kominiarka była mocno rozciągnięta i co chwilę musiał ją poprawiać, bo zsuwała mu się na oczy. Niv cieszył się z każdej zmarnowanej sekundy. Od momentu wciągnięcia przywódcy porywaczy w bezsensowną pyskówkę wiercił stopą w niewygodnym bucie, rozdrapując bąble. Pokaże im poziom bazowy! Wreszcie technik skończył mocować okablowanie i przyjrzał się uważnie obiektowi badania.

– Proszę spojrzeć w kamerkę i spokojnie odpowiadać na pytania. Nazywa się pan Niv Sokol, tak?

Niv docisnął krawędź buta do świeżej rany i o mało nie syknął z bólu.

– Tak.

– Pracuje pan w Instytucie Weizmanna, tak?

Mocniejszy nacisk stopy.

– Tak.

– O co jeszcze możemy spytać? – Technik spojrział na szefa. – Potrzebuję jeszcze ze dwóch, trzech odpowiedzi.

– Doktoryzowałaś się w Wilnie? – Teraz to elektroniczny głos zadawał pytania.

– Nie. Tam kończyłem studia. Doktorat robiłem w Maksie Plancku. – Niv starał się zbyt mocno nie krzywić, gdy ciasna skóra buta wpijała mu się w zranioną stopę.

– Dałeś dupy Bielawskiemu, żeby dostać obecne stanowisko?

– Nie! Kurwa, oszaleliście?! – Zaskoczony Niv zapomniał o stopie i bucie. Na szczęście technik też wyglądał na zdezorientowanego.

– To była prawdziwa czy fałszywa odpowiedź? – zainteresował się grubasek.

– Nie wiem. Z tego co słyszałem o tym starym zbereźniku, to woli studentki, więc chyba prawdziwa.

– Ogranicz się pan do pytań neutralnych i znanych – wtrącił Rosjanin. – Teraz niech skłamię.

– Jak ma na imię ta dupencja, którą posuwasz na konferencji?

Niv poczuł, że krew w nim wrze. Nie musiał już zastanawiać się, kto chował się za kominiarką. Nagle oczywistym stało się, jaki zapach maskował lizol i dlaczego porywacz modulował głos. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

A to skurwysyn!

– Linda – odpowiedział, próbując nie okazywać emocji.

– Czy twoi rodzice nadal mieszkają w Wilnie?

Niv kipiął z wściekłości. Czyli teraz przyszedł czas na szantazowanie rodziną?

– Nie – mruknął bezbarwnym głosem. – W Rukojnie.

– Proszę się ograniczyć do odpowiedzi „tak” lub „nie” – zakomenderował technik. Drapiąc się po głowie, spojrzął na swojego szefa. – Kwalifikujemy to jako kłamstwo?

– Tak, w papierach mamy, że są z Wilna. – Wysoki mężczyzna machnął ręką w kierunku poligrafu. – Działą to w ogóle?

W czasie gdy trzej mężczyźni studiowali wyprodukowany przez maszynę raport, Niv pozwolił sobie na stłumione westchnienie ulgi. Odkrył, kto jest porywaczem, a także to, że jego wpływy są ograniczone, skoro nie wiedział nawet, gdzie dokładnie przebywają jego rodzice.

W końcu Adams obrócił się w jego stronę.

– Mam nadzieję, że dobrze rozumiesz swoją sytuację i łatwość, z jaką możemy sięgać po... inne metody perswazji.

Nagle Niv poczuł się potwornie zmęczony.

– Pytaj wreszcie i miejmy to za sobą.

Adams wyprostował się i założył ręce za plecami. Zdawał się delektować obrazem nędzy i rozpacz, jakim stał się Niv.

– Wydaje ci się, że jesteś sprytny, co?

– Mam skłamać, czy powiedzieć prawdę?

Mężczyzna doskoczył do Niva i uderzył go wierzchem dłoni w twarz.

– Masz tylko odpowiadać na pytania!

Niv przez chwilę zastanawiał się, po co właściwie go drażnił i po co próbował oszukać wariograf. Może dlatego, że Adams pastwił się nad nim, zamiast po prostu dać mu laptopa i zażądać dostępu do wyników? Blue Pill znany był z tego, że leki wypuszcza szybko i tanio – jego odkrycie mogło trafić gorzej. Może gdyby Adams dostał dane, przestałby się wydzierać i pozwolił mu wrócić na konferencję? Przecież musi jeszcze porozmawiać z Daivą...

– Przepraszam najmocniej – technik głośno przełknął ślinę – ale pana reakcja nie pomaga wariografowi.

– Do dupy z taką techniką! – Adams tupnął nogą. – Ale niech ci będzie. – Zwrócił się na powrót do Niva: – Zdaje ci się, Sokol, że jesteś sprytny, bo schowałeś laptopa. Ale wszystkie dane masz też na komputerze w instytucie, prawda?

Niv usiłował ukryć zaskoczenie na wieść o zniknięciu sprzętu. Zostawił go przecież na biurku w pokoju hotelowym.

– Ta... tak – odpowiedział niepewnie.

Adams odwrócił się w kierunku technika. Ten tylko pokiwał głową.

– No dobra... Zalogujesz się na niego i pobierzesz odpowiednie pliki.

– Nie mogę! – Niv głębokimi oddechami starał się zrelaksować obolałe ciało. – Względy bezpieczeństwa. Dane techniczne eksperymentu są umieszczone w chmurze, do której zalogować się można wyłącznie z mojego komputera w instytucie, na który z kolei nie da się zalogować z zewnątrz.

Technik przez dłuższą chwilę oglądał coś na ekranie urządzenia, ale w końcu potwierdził jego wersję. Niv bezgłośnie wypuścił powietrze – wyglądało na to, że metoda działała.

– Nie ma problemu. – Adams uśmiechnął się chytrze. – Po prostu podasz mi hasło i login!

– Przecież ochrona...

– Tym się nie martw.

– Nie wierzę wam! – Niv gorączkowo szukał sensownego uzasadnienia swojego pobudzenia. – Nie wierzę, że mnie wypuścicie. Zabijecie mnie, gdy tylko podam hasło!

Teraz już krzyczał, a łzy napływały mu do oczu. Technik w tym czasie rozpaczliwymi gestami pokazywał Adamsowi, żeby ten

uspokoił Niva. Ciężkie westchnienie przedarło się przez elektroniczny filtr.

– Naprawdę nie masz się czego obawiać. Jak pewnie zauważyłeś, cała operacja jest prowadzona precyzyjnie, w taki sposób, żebyś jutro rano mógł pojawić się na konferencji. Potrzebujemy danych, nie krwi.

– Nie wierzę! Jeśli mnie wypuścicie, nic nie zyskacie, będziecie musieli mnie zabić! – Niv po minie technika starał się rozpoznać, na jak dużo może sobie pozwolić, nim kompletnie rozkalibruje wariograf.

– Spokojnie! Zanim dojedziesz stąd do hotelu, nasi prawnicy złożą odpowiednie dokumenty patentowe, a nasz urzędnik szybko ciutko je przeprocesuje. Zatem? Jak widzisz, traci na tym tylko Weizmann, a na biednego nie trafiło.

– Będziecie mieli na mnie haka na przeszłość!

Porywacz prychnął z rozbawieniem.

– Serdecznie ci życzę, żebyś kiedyś odkrył coś równie wartościowego, ale obawiam się, że to mało prawdopodobne.

– Nie mogę powiedzieć... – Niv zauważył, że technik nagle otworzył usta. – Nie mogę powiedzieć, że przegrałem bez walki – uśmiechnął się krzywo – ale wygląda na to, że nie mogę z wami wygrać. Login *nivsokol*, pisane małymi literami, hasło dwa ce jot be de wu ka trzy gwiazdka u pe ka de...

Rosjanin notował skwapliwie. Teraz oczy wszystkich skierowały się na technika, stojącego nad laptopem. Wpatrywał się w ekran, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Drapał się po brodzie dłuższą chwilę, manipulował pokrętłami, przesuwał obraz na ekranie, wreszcie spojrzął na Adamsa, nim jednak zdążył coś powiedzieć, zadzwonił telefon. Niv ze zdumieniem rozpoznał sygnał. Adams nerwowo oklepał bluzę i z kieszeni na piersi wyjął komórkę. Popatrzył na ekranik i już miał odebrać, gdy niższy mężczyzna niespodziewanie wyszarpnął mu z ręki urządzenie i rozbił o ziemię.

– *Suka blad'!* – zawołał rozjuszony Rosjanin, łypiąc wściekle na pracodawcę.

– Odbiło ci?! – Adams popukał się w czoło, niepomny na znie wagę. – To tylko pizzeria dzwoniła!

– Pizzeria?! – Rosjanin potrząsnął głową z niedowierzaniem i rozłożył bezradnie ręce. – Kluczeliśmy specjalnie trzydzieści mil, żeby zmylić pogoń. Miałeś pan wyjąć z niego baterię, zanim zawrócimy!

– Jaką pogoń? – zachnął się Adams. – Wymyśliłeś sobie ten paranoiczny plan, chciałeś się przejechać, twoja sprawa. Ale nie przypominam sobie, żebym zgodził się na wyłączenie telefonu.

– Mogli nas namierzyć!

– Kto? Bielawski? Myśli, że Sokol jest u swojej dupencji. A ona pokłóciła się z nim i będzie myśleć, że po prostu nie odbiera lub znalazł sobie inne popychadło.

– Właśnie naraziłeś pan całą operację – głos niższego mężczyzny był lodowato spokojny. Niv poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Nie przesadzaj. Nie chciałem go wyłączać, bo byłem ciekaw, kto jeszcze może się próbować skontaktować z doktorem Sokolem w sprawie leku na raka.

– Wiesz pan co? Dostaję za mało kasy, żeby niańczyć debila. Miałem dostarczyć tego łebka? Dostarczyłem. Miałem dopilnować, żeby odpowiadał na pytania? Staram się, chociaż dziwię się, że w ogóle mówi po tym, jak żeś pan go zatankował. Ale najpierw wybierasz pan miejsce, którego obrona wymagałaby użycia małej armii, a teraz okazuje się, że świecisz pan na cały świat jego telefonem!

Adams słuchał tych wynurzeń w milczeniu, ale nawet przez kominiarkę widać było, jak drżą mu mięśnie na szyi. Wreszcie wypalił:

– Ty chyba naprawdę nie rozumiesz, kurdupłu, kto tu dla kogo pracuje!

– Nie, to pan nie rozumiesz! My nie robimy za kotki do topienia!

– Niezła ambicja jak na najemników!

Rosjanin kilka chwil w milczeniu patrzył na rozmówcę, potem zwrócił wzrok na Niva.

– Jeszcze słowo i będę musiał go zabić, a pan coś od niego chciałeś. Już nas tu nie ma.

– Nie dostaniesz żadnego zlecenia od nikogo z liczących się...

– Jesteś pan pewny, kto tu komu wyświadczał przysługę? – Najemnik wyjął krótkofalówkę i rzucił krótko: – *Po maszynam! Biegom!*

– Nie wierzę! – Adams złapał się za głowę. – Co za brak profesjonalizmu!

Rosjanin ruszył w kierunku wyjścia, ścigany wrzaskiem Adamsa:

– Macie kontrakt, gnoje!

– Przeczytaj pan aneks C. Warunki zerwania kontraktu – warknęła przez ramię najemnik. – Nie myśl pan, żeś pierwszy taki cwany.

Zanim Rosjanin na dobre zniknął Nivowi z oczu, Adams rzucił się za najemnikiem w pogoń. Gdy obaj byli już na zewnątrz, do pomieszczenia doleciały strzępy modyfikowanego elektronicznie głosu.

– Dokąd... I co... Daj mi godzinę... – W miarę jak wzburzenie Adamsa rosło, jego słowa stawały się coraz bardziej zrozumiałe. Wreszcie całkiem wyraźnie rozległo się: – Jak zgarnę te dane, zapłacę dwa razy więcej, niż dawał Blue Pill!

Dalszy ciąg dialogu zmienił się w szum. Widać Rosjanin zrelektował się i nieco stłumił podniecenie swojego rozmówcy. Ale najważniejsze i tak zostało już powiedziane.

W baraku Niv i technik popatrzyli na siebie zdumieni. Choć znali się zaledwie od paru minut, a okoliczności ich spotkania nie były najprzyjemniejsze, wszystko wskazywało na to, że ich myśli powędrowały dokładnie w tym samym kierunku.

Nivowi – świadomemu, że nie ma leku na raka – prawie zrobiło się żal Adamsa, ale technik najwyraźniej nie podzielał tego uczucia, gdyż w błyskawicznym tempie związał wariograf. Chyba chciał wyjechać razem z najemnikami.

Niestety, jego nadzieje rozwiął ryk silników i szum rwanego oponami szutru. Do garażu wszedł Adams i podejrzliwie zmierzzył mężczyznę wzrokiem, akurat w chwili, gdy ten domykał walizkę.

– Co, już?

– Tak. Mówił prawdę.

– Na pewno?

– Tak! – Technik pokiwał głową z takim zapałem, że nawet dziecko zrozumiałoby, że kłamie.

– Przed chwilą nie byłeś pan tego taki pewny. – Adams przyśiadł na stoliku i delektował się mieszanym podwładnego.

– Potwierdzałem kalibrację. Ciśnienie rozkurczowe było wysokie, ale potem okazało się, że facet ma arytmie... – Opanowany głos mężczyzny kontrastował z drżeniem rąk.

– No! To rozumiem! – Adams z zadowoleniem uderzył dłońmi o uda, ale w jego oczach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Skoro już nie jestem potrzebny...

– Ach! Tak, tak. Proszę, niech pan już idzie. Mam nadzieję, że te bandziory nie ukradły panu auta. Ha, ha. – Niv zastanawiał się, czy bez modyfikacji głos Adamsa brzmiałby choć odrobinę bardziej naturalnie. – Niech pan idzie. My tu jeszcze chwilę z doktorem posiedzimy. Będzie musiał powiedzieć naszemu człowiekowi, gdzie dokładnie są dane. Nie potrzebujemy całej chmury. Ha, ha.

– Tak. Już idę. – Technik zrobił krok w tył, w stronę wyjścia. – To... do widzenia.

– Do widzenia – odparł Adams. Wciąż rozciągał usta w uśmiechu, ale siedział sztywno na krawędzi stolika, a spojrzenie miał lodowate.

Technik uklonił się, przesuając się przy tym kolejny krok bliżej wyjścia, i kątem oka zmierzył odległość, jaką miał jeszcze do pokonania.

– Zadzwoń do centrali i powiem, że wszystko poszło zgodnie z planem i czekamy już tylko na dane. Konkretnie dane, a nie na całą chmurę. Ha, ha.

Adams przyglądał mu się badawczo.

– Oczywiście. To bardzo dobry pomysł. Myślę, że prezes z niecierpliwością czeka na informacje.

Znowu zapadło złowrogie milczenie. Mężczyźni zastygli w bezruchu, niczym dwa posągi pojedynkujące się na spojrzenia.

Pierwszy spasował technik. Odwrócił się i po prostu wyszedł. A raczej wyszedłby, gdyby ktoś w tym czasie nie strzelił mu w plecy.

Niv dosłownie podskoczył w fotelu, chociaż wciąż był skrępowany. Widział, jak trafiony w ramię mężczyzna padł z okrzykiem na ziemię. Adams odwrócił głowę, zacisnął powieki i zaczął na

oślepić strzelać do rannego, próbującego wyczołgać się z garażu. Kolejne pociski wbijały się w nogi, brzuch, wreszcie w klatkę piersiową mężczyzny. Gdy w magazynku skończyły się naboje, technik wciąż jeszcze żył, konwulsyjnie wijąc się na podłodze. Adams trzęsącymi się rękoma zmienił magazynek i wymierzył w kona-jącego. Celował kilka sekund, nie dał rady jednak oddać strzału, patrząc ofierze w oczy. Ponownie odwrócił głowę i zaczął wdu-żać spust. Dopiero czwarty pocisk na dobre zakończył cierpienia technika.

Od huku wystrzałów Nivowi dzwoniło w uszach. W ciasnym pomieszczeniu zrobiło się duszno od smrodu prochu, krwi i śmierci, a światło dogorywającej żarówki z trudem przebijało się przez kłęby kurzu i dymu. Adams kaszlał i rozdygotaną dłonią usi-łował schować broń, jednak raz za razem ześlizgiwała się po pla-стикowej kaburze. Gdy w końcu mu się udało, powiódł wzrokiem po zbryzganym krwią pomieszczeniu, wreszcie utkwiał go w ciele. Oczy trupa były wybałuszone, szkliste i wpatrzone w sufit, a wo-kówł wykrzywionych warg krzepła krew. Ciałem Adamsa wstrzą-śnął gwałtowny skurcz. Wybiegł z garażu, zgięty wpół, zasłaniając usta dłonią. Chwilę później dało się słyszeć modyfikowane elek-τροnicznie gardłowe bulgotanie.

Adams pojawił się kilka minut później i bez słowa wyciągnął ciało na zewnątrz. Po powrocie zamknął za sobą drzwi i usiadł na stoliku, wpatrując się w jakiś punkt nad głową więźnia. Niv starał się wyglądać nieszkodliwie. Wreszcie, po dobrych kilku minutach, Adams wyjął telefon i zadzwonił do kogoś, komu przekazał uzy-skane w trakcie przesłuchania informacje. Rozłączył się, schował telefon do kieszeni i zaczął nerwowo bębnić palcami o blat.

– Pan nie uwierzy, doktorze, ale to była samoobrona.

W jego tonie słyhać było obawę. Wbił wzrok w usta Niva, jakby czekając na... Właściwie to na co? Co chciał usłyszeć? Komentarz? Błaganie o litość? Słowa potępienia?

Niv odważył się tylko pokiwać głową.

– Cieszę się, że pan rozumie. Gdyby doniósł centrali, że mam dostęp do tych danych, a oni nie otrzymaliby ich od razu... W su-mie dlatego zatrzymałem pana telefon. Żeby wiedzieć, czy nie przejrzeni mojego planu i nie próbują się kontaktować bezpośred-

nio z panem. Teraz rozumie pan, dlaczego to była samoobrona. Sam pan widzi, do czego są zdolni.

Niv znów przytaknął w milczeniu, mając nadzieję, że to najlepsza taktyka na szaleńców. Adams wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

— Nie mogłem pozwolić, żeby tacy jak InnoMed czy nawet Blue Pill dostali lek w swoje łapy. Jedni drą skórę za każdą pigułkę, a drudzy wypuszczają na rynek byle gównu. Tak czy siak cierpią pacjenci!

Niv kiwał głową z pełnym zrozumienia uśmiechem, ale w głębi ducha zamierał, widząc złowrogie błyski w oczach rozmówcy.

— A przecież ja chciałem dobrze! Rozumie pan, że to podtapianie było konieczne, prawda? Chciałem mieć ten patent, żeby pacjenci dostali tani i dobry produkt, przede wszystkim szybko. Naprawdę trzeba mieć kręgosłup, by kontrolować taką potęgę, jaką daje pana lek! — Zaczął bezwiednie przygryzać paznokcie. — Widzi pan, tylko ja miałem wątpliwości, kiedy okazało się, że praca w firmie wymaga pewnych kompromisów. Ja jeden biłem się z sumieniem! Pan myśli, że łatwo było kraść wyniki kolegom ze studiów i przekupywać laboratoria analizujące efekty uboczne?!

Niv kręcił głową, rozszerzonymi oczami wpatrując się w strużki śliny ściekające Adamsowi po brodzie.

— A pan jest lepszy, doktorze? Nigdy nie wyśmiał pan na seminarium dobrego pomysłu tylko dlatego, że nie był pana? Nie dawał pan najlepszym studentom najnudniejszej roboty tylko po to, by szybko odeszli i nie stali się konkurencją? Nie zagarnął pan dla siebie cudzego pomysłu, nie wspominając potem autora nawet w podziękowaniach?

Porywacz znów usiadł na stoliku, wyjął broń i zaczął się nią bawić, nabój po naboju rozładowując i ładując magazynek.

— A tak naprawdę to pan narozrabiał, to wszystko pana wina! — Oskarżycielsko zwrócił lufę w stronę Niva. — Mógł pan zgodzić się na współpracę i wszyscy byliby zadowoleni. Ale nie! Pan musiał odmówić, ośmielając się jeszcze podważać nasze kapitalistyczne metody pozyskiwania danych. — Adams opuścił broń i po raz pierwszy od zabójstwa spojrzał Nivowi prosto w oczy. — Jak pan mógł?!

Wywołany do odpowiedzi Niv zamarł. Nie wiedział, co odpowiedzieć, tym bardziej, że myśli miał zaprzątnięte wątpliwościami, czy dobrze zrobił, podając wymyślone naprędce hasło. Za chwilę prawda wyjdzie na jaw, a chyba nawet sam Adams nie miał pojęcia, jak zareaguje na wiadomość, że dał się oszukać. Kolejną zagadką było, czy jego współpracownik skontaktuje się z szefem po pierwszej nieudanej próbie, czy też zadzwoni już z pułapki, w jaką zmieni się pokój, gdy trzeci raz błędnie wpisze hasło.

Niv wbił wzrok w Adamsa, próbując domyślić się, co powinien mu powiedzieć, żeby ująć z życiem. Ten chyba błędnie zinterpretował jego przerażone spojrzenie, bo wstał ze stolika i nachylił się nad Nivem.

– Widzę, że pan także rozumie, że to pan jest wszystkiemu winny. W końcu to w pana kraju tyle lat panowała urawniłowka! Nie wstyd panu? Nie wstyd wobec wszystkich przodków, którzy musieli dźwigać jarzmo totalitaryzmu? Swoim zachowaniem stanął pan w jednym szeregu z komunistami i nazistami, Sokol! Podobnie jak ten szczurek! – Machnął ręką w stronę drzwi.

Adams już krzyczał. W oczach pękały mu kolejne naczynka krwionośne, potęgując wrażenie zionącego z nich obłędu. Niv zrozumiał nagle, że cała ta przemowa miała na celu wyłącznie racjonalizowanie zabójstwa. Według porywacza nie zginął już Bogu ducha winny człowiek, lecz komunista i nazista...

Niv przełknął ślinę. On też właśnie dorobił się tej przeklętej etykiety.

Nagle zadzwonił telefon. Adams ze zdziwieniem spojrzał na szczątki urzędnika. Dopiero po trzecim sygnale zorientował się, że ten złom już nie ma prawa wydać z siebie dźwięku i sięgnął do kieszeni po swój telefon. Odebrał go i przez kilka sekund słuchał w milczeniu. Podniósł głowę i spojrzał na Niva. Początkowo obłęd w jego oczach zmienił się w niedowierzanie, by chwilę później ustąpić miejsca furii. Przez moment porywacz wyglądał, jakby miał zamiar rzucić się na więźnia i znowu zacząć okładać go pistoletem, jednak tym razem najwyraźniej postanowił użyć broni zgodnie z jej przeznaczeniem.

– Poczekaj chwilę – powiedział do słuchawki, opierając łufę o czoło porwanego – zaraz podam ci prawidłowe hasło.

Niv wiedział ponad wszelką wątpliwość, że jeśli teraz skłamię, tamten po prostu go zastrzeli.

– Małymi literami N jak Niv, S jak Sokol, dużymi I jak instytut, W jak Weizmann – wyrecytował, a Adams powtórzył do słuchawki. – Dwa, pięć, pięć, cztery, dwa, trzy, osiem, dziewięć, siedem...

Porywacz nie usłyszał już ostatniej cyfry. Na jego czole i piersi pojawiły się czerwone plamy. Nim do Niva dotarło, co widzi, huk wybuchu nieomal rozerwał mu bębenki, a ściana budynku rozleciała się na milion kawałków, kalecząc mu skórę odłamkami.

Do środka wpadli zamaskowani mężczyźni w jednolicie czarnych mundurach. W kilka sekund omietli pomieszczenie laserowymi wiązkami celowników, wywlekli trupa Adamsa i odcięli Niva od fotela. Był tak zeszywniały, że praktycznie powlekli go do samochodu. Przed garażem stało pięć czarnych vanów.

Niv, niecałą minutę po eksplozji, leżał twarzą do ziemi z rękami skutymi za plecami, z jednej strony osłonięty samochodem z napisem „SWAT”, z drugiej kordonem zamaskowanych policjantów, czujnie wpatrujących się w ciemność. Przekręcił głowę i ze zdumieniem przyjrzał się ich wyposażeniu. Poza wojskowymi karabinami każdy zaopatrzone był w noktowizor, zaś dwóch w coś przypominającego małe wyrzutnie rakiet. Dodatkowo jeden z policjantów rozmontowywał jakieś zaawansowane urządzenie mobilne, jakie do tej pory Niv widział tylko w filmach science fiction.

Zacisnął powieki, gdy na jego twarz chlapnęło błoto rozprysnięte wysokimi, wojskowymi butami. Ktoś odwrócił go szarpnięciem i nachylił się w jego stronę. W półmroku Niv dostrzegł zarys niesympatycznej twarzy. Mężczyzna zaświecił mu w oczy słabą, czerwoną latarką, po czym skierował ją na trzymane w ręku zdjęcie.

– ...Sokol? – Ledwo dosłyszał swoje nazwisko. Większość dźwięków zagłuszało dzwonienie w uszach.

– Tak...

Oficer bezceremonialnie odwrócił go z powrotem na twarz i rozkuł, a ponieważ Niv wciąż nie był w stanie sam się podnieść, niemal został wrzucony do pojazdu. Sekundę później Trep – bo tak Niv zdążył ochrzcić oficera w myślach – wszedł za nim i zatrzasnął drzwi. Dwukrotnie uderzył pięścią w szybę, a stojący na zewnątrz policjanci rozbiegli się do pozostałych samochodów.

Ostatni wsiadali już w biegu. Kolumną ruszyli w dół wzgórza, na którym stał garaż, będący przez ostatnich kilka godzin więzieniem Niva. Rosjanin miał rację – obrona tego miejsca wymagałaby armii.

Niv powiercił palcem w ucho. Dzwonienie zmieniło się w jeszcze bardziej denerwujące piszczenie, w dodatku wzbogacone o narastający ból głowy. Na szczęście z każdą minutą słyszał coraz lepiej. W samą porę, bowiem Trep zdecydował się przerwać milczenie:

– Jest pan cały?

– Chyba... chyba tak.

– Zgłoszono pana zaginięcie. Porywacze przegapili pana komórkę, co ułatwiło nam zadanie.

– Nie przegapili. Jeden z nich ją zabrał.

– Doprawdy? – Trep popatrzył na niego powątpiewająco. – Po co?

– Chciał wiedzieć, kto będzie do mnie dzwonił.

Oficer nic nie odpowiedział, ale gdy kręcił z dezaprobatą głową, można było dostrzec, jak jego usta formują się na kształt bezgłośnego: „Amatorzy”.

– Byli tu jeszcze najemnicy.

– Najemnicy?

– Najemnicy, którzy mnie tu przywieźli. Pokłócili się ze zleceniodawcą i odjechali. – Niv zauważył malujące się na twarzy oficera rozczarowanie.

– O co chodzi?

– Nic takiego. – Oficer uśmiechnął się krzywo. – Szkoda, że uciekli. Moglibyśmy ich aresztować. Wie pan, statystyki w górę, te rzeczy.

– Aresztować? Tak jak Adamsa?

– Adamsa?

– To porywacz, którego zastrzeliliście. Do cholery, przecież to mogłem być ja!

– Procedury, panie doktorze. Procedury. A nasz sprzęt pozwolił na przeprowadzenie akcji bez zbędnego ryzyka. – Oficer nerwowo stuknął palcami w brodę. – Mówi pan, że jak nazywał się porywacz?

– Adams. Może ma przy sobie dokumenty.

– Przyjadą mundurowi, to go przeszukają. Naszym zadaniem było pana odbić i jak najszybciej dostarczyć w bezpieczne miejsce. Ale zanim przejdziemy do, jak to się mówi, opisu zdarzenia, niech pan weźmie te proszki, bo jak zejdzie panu adrenalina, to będzie pan nam robił za syrenę. – Podał Nivowi saszetkę. – Ładunki kierunkowe ułatwiają wejście, ale nie zazdroszczę panu pobytu w środku.

Gdy Niv w milczeniu przełknął lekarstwo, oficer krytycznie przyjrzał się jego skroni. Spod fotela wyjął apteczkę, a z niej aerozol ze znacznikiem czerwonego krzyża i antyseptyczną chusteczkę.

– Proszę zamknąć oczy. Może lekko piec – ostrzegł beznamiętnie i przetarł zranione miejsce chusteczką.

Chłód chusteczki przyniósł nieoczekiwaną ulgę pulsującej bólem skroni. Niv uśmiechnął się pod nosem.

– Obawiam się, że po tym, co przeszedłem... Sss!

Czymkolwiek był zastosowany przez oficera spray, Niv cieszył się, że Adams nie miał do niego dostępu. Substancja, która pokryła jego ranę, zdawała się wżerać w skórę.

– Za chwilę zadziałają środki przeciwbólowe – głos Trepa pozostawał idealnie obojętny, podobnie jak jego ogorzała twarz, ale Niv nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pod spodem czai się kpina. Na szczęście mówił prawdę. Wkrótce pieczenie i ból głowy zaczęły słabnąć, nawet piszczenie w uszach stawało się mniej irytujące.

Droga do hotelu zajęła im prawie godzinę. W tym czasie Niv opowiedział oficerowi wszystko, co zapamiętał. Tamten z szybkością maszynistki wystukiwał jego zeznania na klawiaturze laptopa, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Przed hotelem policjant wyjął z bagażnika przenośną drukarkę, przygotował dwie kopie zeznań, poprosił o podpis na jednej z nich, po czym zaszalutował.

– Gdyby pan przypomniał sobie coś jeszcze lub ktokolwiek kontaktował się z panem w tej sprawie, proszę do mnie zadzwonić. Mam nadzieję, że nie muszę panu tłumaczyć, jak ważne z przyczyn bezpieczeństwa operacyjnego jest, żeby rozmawiał pan wyłącznie i bezpośrednio ze mną. Numer jest w stopce. Do widzenia.

Zanim Niv zdążył zebrać myśli i coś odpowiedzieć albo przynajmniej oddać długopis z gwiazdką szeryfa, Trep wskoczył do

auta i odjechał. Zdębiały naukowiec wpatrywał się chwilę w znikające światła samochodów. Odczuwał pewien niedosyt. Nie znał się na procedurach uwalniania zakładników, a na rozmowę z psychologiem nie miał ochoty, ale jego mocno poturbowane poczucie własnej wartości odrobinę by odżyło, gdyby miał szansę takowej odmówić. Zgiął na cztery kopię zeznań i schował do kieszeni spodni. Z drugiej strony musiał przyznać, że policję mieli tu nad wyraz sprawną. Ostatnia rzecz, jakiej teraz pragnął, to spędzenie nocy na komisariacie.

Zadając sobie w myślach pytanie, czego w takim razie by pragnął i czy byłaby to raczej paczka papierosów, butelka wódki, czy też obie te rzeczy jednocześnie, pokuśtykał w stronę wejścia.

W lobby zauważył jednak coś, na co kompletnie nie miał ochoty. Oto w jednym z foteli siedziała Daiva, bezmyślnie przeglądając kolorowe czasopismo. Mimo przygaszonego światła, widział odcinające się od jej bladej skóry ciemne sińce wokół oczu. Odruchowo zrobił w jej kierunku kilka kroków, szybko jednak się zatrzymał. Próbował wymyślić jakieś przeprosiny, ale przesłuchanie, pobicie i ogłuszenie nie pomagały mu zebrać myśli. Stał kilka chwil, przypatrując się jej w milczeniu.

Nagle dotarło do niego, jaki element nie pasował mu do obrazu. Sukienka, która podczas kolacji budziła zachwyt mężczyzn i zazdrość kobiet, teraz była zmięta i przybrudzona, a na fotelu obok leżał zwinięty w kłębek hotelowy szlafrok. W jego pamięci rozbrzmiały rozmowy o pocieszaniu, które słyszał, wychodząc z sali. Bezgłośnie odwrócił się i skierował ku windom.

Stalowe drzwi rozsunęły się ze zgrzytem niosącym się po holu jak bicie kościelnego dzwonu. Niv kątem oka zauważył, jak Daiva zrywa się z fotela i biegnie w jego stronę. Wszedł do środka, udając, że jej nie dostrzega. Gdy jednak usłyszał, że woła jego imię, zacisnął zęby i wysunął rękę, zasłaniając fotokomórkę. Daiva zdyszana wpadła do środka i szybko wcisnęła guzik zamykania drzwi.

— Niv! Czekałam na ciebie, ale... — Nagle dostrzegła, w jakim stanie jest jego twarz i garderoba i urwała.

— Nie musisz niczego tłumaczyć. — Niv wziął głęboki oddech.
— Przepraszam za to w restauracji.

– Słuchaj! To nie tak, jak myślisz!

– Jest późno i miałem ciężki wieczór. Ja w ogóle nie myślę. Przepraszam. Cokolwiek się stało, to moja wina.

To zdecydowanie nie była pora na wyjaśnienia. Marzył o wódce, papierosach i ciepłym prysznicu. W samotności. Dzwonek oznajmił, że znaleźli się na jego piętrze, Daiva jednak stanęła w drzwiach, najwyraźniej nie mając zamiaru go przepuścić. Przecież ją przeprosił! Czego jeszcze oczekiwała?

Wcisnęła numer piętra własnego pokoju. Tego było już za wiele!

– Pani doktor pozwoli, mam poduszkę do zapłakania – warknęła i oparł dłoń na przycisku swojego piętra, blokując odjazd.

Kobieta podniosła głowę i zmrużyła oczy. Spoliczkowała go.

Otumaniony środkami przeciwbólowymi prawie nie poczuł uderzenia, ale ego zabolowało mocno.

– Nie chciałbym psuć ci zabawy, ale bicie mnie w tej chwili niewiele daje. Przeszedłem dziś takie rzeczy, że musiałybyś złamać mi szczękę, żebym w ogóle coś poczuł. Jak już mówiłem, przepraszam cię za moje zachowanie przy kolacji, cokolwiek działo się później, nie jest moją sprawą. Dobranoc.

– Później zostałeś porwany. Trudno to nazwać nie twoją sprawą.

Zbaraniały Niv stał przez chwilę bezgłośnie rozdziawiając usta.

– Jak... kto... to znaczy... Skąd o tym wiesz?

– To ja wezwałam policję.

Niv wziął gwałtowny wdech, ale zanim się odezwał, Daiva położyła mu palec na ustach.

– Widzisz... Stwierdziłam, że powinnam jednak dać ci w pysk za to, co powiedziałeś, i wróciłam do restauracji. Ktoś powiedział mi, że chyba poszedłeś się utopić, bo widział, jak zmierzałeś na plażę. Poszłam po twoich śladach. Widziałam, jak podchodzi do ciebie jakiś facet, uderza cię, a potem wciąga do samochodu. Na szczęście szłam blisko drzew, więc nie zauważył, kiedy padłam na ziemię i odczołgałam się w krzaki. Po telefonie na policję wróciłam tu biegiem i zabrałam twojego laptopa, bojąc się, że ci ludzie mogą chcieć ukraść wyniki. Bałam się też zostać sama w pokoju, więc od tamtej pory siedzę tu i czekam.

Niv bez słowa wpatrywał się w ślady ziemi na jej ubraniu. Daiva podała mu zwinięty szlafrok, który do tej pory kurczowo ściska-

ła pod pachą. Przez miękki materiał wyczuł obudowę laptopa. Wstyd palił mu policzki.

— Wygląda na to, że znów muszę cię przeprosić. — Odwrócił wzrok i rozważał coś przez chwilę. — Ja... na spacerze na plaży, dosłyszałem fragment rozmowy... Coś o obijaniu się na wyjeździe, że zaraz wracasz... Doszedłem do wniosku, że to twój facet, że macie jakiś problem czy coś, a ja robię tylko za emocjonalny tampon... Stąd ta scena przy kolacji. Przepraszam. Jak chcesz, możesz mi jeszcze raz dać w głupi dziób, jak już przestaną działać prochy, które dostałem od gliniarza.

— Jeśli podsłuchałeś coś, co nie do końca zrozumiałeś, to trzeba było po prostu spytać. Nie mam faceta. To znaczy... nie miałam... — Spojrzała na niego nieśmiało, ale ponieważ zszokowany nie zareagował na to wyznanie, kontynuowała: — Ale chyba nie ma sensu cię opieprzać, bo pewnie i tak nie powiem ci nic, czego byś sobie sam już do tej pory nie powiedział. — Daiva odsunęła się od drzwi. — Wiesz co? Może weź swoje rzeczy i przyjdź do mnie?

W pokoju okazało się, że nie było rzeczy, które Niv mógł wziąć. Temu, kto przeszukiwał pomieszczenie, nie wystarczyło samo wysypanie ubrań z szuflad. Każde zostało rozprute na szwach i wyrócone na nice. Podobnie potraktowano meble, a nawet elektronikę i zasłony.

Godzinę później Niv był już wykąpany, a wszystkie rany i stłuczenia miał opatrzone lub obłożone zimnymi kompresami. Uwadze Daivy nie umknęło nawet coś tak błahego, jak otarcie na pięcie.

Teraz leżał z cienkim mentolem zwisającym z kącika ust, bezmyślnie wpatrując się w telewizor, podczas gdy Daiva brała prysznic. Prawie usypiał, gdy rozpoczęła się emisja jakiegoś tandetnego szpiegowskiego filmu.

Zerwał się na równe nogi i złapał za głowę. W całym tym zamieszaniu zapomniał poinformować szefa o człowieku Blue Pill w instytucie! Ktoś przecież sprawdzał jego komputer dla Adamsa!

Złapał leżącą na szafce nocnej komórkę i wywołał listę ostatnich połączeń. Przez chwilę skonfundowany wpatrywał się w ekran.

Zamiast numerów profesora Bielawskiego i pizzerii widział tylko nieznyany ciąg cyfr. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że trzyma w rękę telefon Daivy. Coś mu się jednak nie zgadzało. Łączyła się dwukrotnie z tym samym numerem – raz podczas ich brzemiennego w skutki spaceru, a drugi mniej więcej w czasie, gdy został porwany. Połączenia z policją nie było wcale. Podobnie jak zapisanych kontaktów, starych wiadomości, zdjęć, tuzinów bezużytecznych aplikacji... Jakby urządzenie zdjęto ze sklepowej półki nie dalej jak trzy dni temu.

Spojrzał w kierunku łazienki i przygryzł wargę. Ważył telefon w rękę kilka chwil, dwa razy przymierzył się do odłożenia go na półkę, ale w końcu wcisnął zieloną słuchawkę. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Kiedy w słuchawce zadudniło przywitanie, ze wstrętem zakończył połączenie.

Gdy kilkanaście minut później Daiva wyszła spod prysznicza, czekał na nią ubrany. Bałagan w pokoju niewiele odbiegał od tego, jaki wcześniej zastał u siebie. Włożył jej do ręki komórkę.

– Podziękuj Youngowi, że mnie wyciągnął z łap Adamsa. Nawet nie zgłoszę policji, że wasi najemnicy odstrzelili mu łeb.

Daiva poważnie pokiwała głową. Gdy przestała już grać, z jej oczu zniknęła naiwna zalotność, ustępując miejsca chłodnej ironii, zaciekawieniu, ale także czemuś na kształt niechętnego respektu.

– Znając twój profil psychologiczny, mogę założyć, że płacz i zapewnienia, że to nie tak, jak myślisz, nie mają sensu.

Niv odwrócił się i położył dłoń na klamce. Nie miał najmniejszej ochoty na dalszą rozmowę.

– Poczekaj! Rozumiem twoje oburzenie, ale, jak sam widzisz, nie chcę marnować twojego czasu na melodramaty. Mam jednak pytanie.

Niv wahał się przez moment, ale ostatecznie ciekawość znów zwyciężyła, tym razem nad urażoną dumą.

– Widzę, że nieżyly macie ten profil.

– Co zrobisz? Nie możesz wrócić do domu i udawać, że nic się nie stało. Blue Pill ci nie odpuści.

Niv wzruszył ramionami.

– I co z tego? Że niby was to obchodzi?

– To z tego, że możemy zapewnić ci ochronę. Czujemy się w jakimś stopniu odpowiedzialni za to, co cię spotkało. Wbrew pozorom mamy swoją etykę...

– I cóż właśnie ta etyka pozwoliła ci dolać do mojej whiskey?
– Niv sięgnął do kieszeni, wyjął buteleczkę i pomachał naczyniem przed nosem kobiety. Przez chwilę naprawdę wyglądali jak naukowcy, którzy badają klarowność substancji w próbówce.

– To jeszcze nie ma nazwy – odpowiedziała Daiva – ale to nic szkodliwego. Wzmacnia emocje. Chwilowo. Ten wieczór miał być dla ciebie naprawdę wyjątkowy.

– Naszprycowałaś mnie?

– Nie. Tak. Chociaż technicznie rzecz ujmując to nie, bo to ani nie uzależnia, ani nie daje efektów ubocznych. Nawet wycina z pamięci emocje, które wywołało. Gdybyś chciał, po wszystkim mógłbyś o mnie po prostu zapomnieć.

– Dziękuję ci uprzejmie! O kradzieży mojego patentu też bym zapomniał?

– Jakiego patentu?! – prychnęła drwiąco. – Widzieliśmy dane na twoim laptopie. Wyglądały obiecująco, ale bez pieniędzy na dalsze badania twoimi nanobotami może się zainteresować najwyższej Al-Kaida.

– Wykorzystałaś moje porwanie, żeby włamać się do mojego laptopa?! – Niv uniósł brwi w zdumieniu, bowiem bezceremonialność tej kobiety wciąż nie przestawała go zadziwiać.

– Za kogo mnie masz?! Wczoraj w nocy Graham wpiął ci do niego pluskwę!

– No tak, to zmienia postać rzeczy...

– Gdybyś nie zaspał i rano włączył komputer, rozmawiałby z tobą inaczej podczas lunchu. Ale to teraz nieistotne.

Niv zamrugał, gdy uderzyła go pewna myśl.

– Nawet zostawił mi przejściówkę na wypadek, gdybym zapomniał swojej? Czy to wasz gadżet reklamowy? Coś jak długopis dla lekarza? Nie przyglądałem się, ale może gdzieś na spodzie jest logo InnoMedu.

– Nie... po prostu ją zostawił. – Daiva skrzywiła się zniecierpliwiona. – Ale brawo za kreatywność. Graham, w przeciwieństwie do środowiska naukowego, naprawdę wysoko ją sobie ceni.

– Przez chwilę przyglądała mu się z nadzieją. – Jesteś pewny, że nie chcesz z nim jeszcze raz porozmawiać?

Niv się zawahał. A potem zezłościł się na siebie za to wahanie. Związał się z akademią nie dlatego, że brakowało mu kwalifikacji do pracy w firmie farmaceutycznej!

– Nie rozśmieszaj mnie! – wybuchnął. – Korporacyjna kreatywność?! Może jeszcze dodasz, że dla dobra ludzkości? Nauka i praca w służbie inwestorów, ot co! – Widząc, że Daiva zaciska gniewnie usta i nie kwapi się do kontynuowania tematu, wrócił do przerwanej wątku: – Dlaczego podałaś mi narkotyk?

– Chodziło tylko o to, żebyś w czasie rozmowy o współpracy nie wyskoczył z tą twoją chorą ambicją. To miało mi pomóc w stworzeniu odpowiedniego klimatu.

– Ale ja się zirytowałem, a to paskudztwo wprawiło mnie w furję. – Niv klepnął się w czoło. – I pomyśleć, że potem latałem cię przeproszać.

– Naprawdę wolałabym, żeby ta noc wyglądała inaczej. – Na jej twarzy na krótką chwilę znów zagościł cień dawnego uśmiechu.

– Przepraszam, że to powiem, ale nie wiem, czy większym wstrętem napawa mnie wspomnienie dotyku mokrej szmaty, czy twoich rąk. Adams może i mnie torturował, ale przynajmniej nie ukrywał, że traktuje mnie przedmiotowo.

– A ty mnie nie traktowałaś przedmiotowo? – Złość Daivy wyglądała na szczerą. – Cycata niunia z tytułem i bzikiem na punkcie sztuki. Fajna wkładka do łóżka, co?! Myślisz, że nie wiem, że średnia długość trwania twoich związków liczy się w dniach, jeśli nie w godzinach?!

Niv patrzył jej w oczy, aż spuściła wzrok. Wychodząc, rzucił przez ramię:

– Powinnaś jednak zmienić parę rzeczy w tym profilu.

I choć to także do niego nie pasowało, trzasnęła drzwiami.

Winda nie przyjeżdżała całą wieczność, więc ruszył w dół schodami. W głowie aż mu huczało od nadmiaru wrażeń.

Nie spał całą noc, a pod pachą niósł komputer z wynikami, z powodu których, jeszcze przed ich ujawnieniem, zginęło dwoje ludzi. Z drugiej strony... jego badania mogły też uratować wiele

istnień. Minął piętro, na którym był zakwaterowany i zszedł na sam dół, do baru, zakładając, że bez uzupełnienia pierwotnego planu o wódkę i tak nic nie wymyśli.

Przy kontuarze zastał dwie osoby. Barmana, którego spodziewał się w tym miejscu, i profesora Sestiere, którego obecność kompletnie go zaskoczyła. Staruszek tłumaczył właśnie jakieś zagadnienia z fizyki cząstek. Byli tak pochłonięci rozmową, że dostrzegli Niva dopiero wtedy, gdy usiadł obok. Gdy barman odszedł realizować zamówienie, Sestiere uśmiechnął się do Niva.

– Widzę, że nie może pan przespać nocy przed wykładem. – W ustach kogokolwiek innego brzmiałoby to jak kpina, ale profesor naprawdę zdawał się martwić.

– To nie tak. Samo wystąpienie mnie nie przeraża. Po prostu w ciągu ostatniej doby zostałem porwany, pobity i wykorzystany. A wszystko dlatego, że recenzent mojego projektu sprzedał go firmom farmaceutycznym.

– Koncerny dowiedziały się o nanobotach?

Niv smętnie pokiwał głową.

– Jeśli może pana to pocieszyć, to chyba wiem, kto za tym stoi. Ten projekt widziały dwie osoby. Wiem, że ja tych danych nikomu nie przekazałem...

Na kontuarze pojawiły się dwa kieliszki. Niv opróżnił swój i westchnął.

– Obawiam się, że nawet jeśli poznam nazwisko, niewiele to zmieni. Firmy nie poświadczą swojej winy w sądzie.

– Oczywiście, że nie wygra pan w sądzie! Ale jest pan pewny, że nie chce wiedzieć, kto pana tak urządził?

Przez chwilę Niv zastanawiał się nad odpowiedzią, wreszcie pokręcił głową. Profesor uśmiechnął się smutno.

– Mogę pana zapewnić, że osoba, która pozwoliła sobie na takie nadużycie, spotka się od tej pory z pewnym... ostracyzmem w środowisku. Pana zdrowie.

Wypili obaj. Profesor wiercił się przez moment na krześle, aż wreszcie wypalił:

– Ja też muszę pana przeprosić. To z pana powodu narobiłem wokół tej konferencji tyle szumu.

Niv roześmiał się histerycznie.

– Więc i pan uwierzył, że mam gotowy uniwersalny lek na raka?

Profesor wyglądał na zaskoczonego.

– Skądże znowu! Co za bzdura! Tego chcą od pana firmy?

Niv tylko pokiwał głową. Napięcie i stres znalazły nagle ujście i w paroksyzmach śmiechu nie był teraz w stanie wymówić słowa. Sestiere dołączył do niego i rechotali obaj, uderzając pięściami o blat tak zawzięcie, że barman odstawił butelkę i wycofał się chyłkiem.

Uspokoili się po dobrej minucie.

– Czy nadal ma pan zamiar ogłosić, co naprawdę kryje się w tych wynikach? – Sestiere ocierał łzy z oczu.

– Szczerze mówiąc? Nie wiem. – Nivowi nagle przestało być do śmiechu.

– Wie pan, w razie czego wyciągnę coś z szuflady, żeby zaspokoić dziennikarzy.

– To by tylko opóźniło moment podjęcia decyzji. I nie chodzi o media. Chodzi o to, co zrobią z tym konkretny.

– W sumie... W opisie projektu był pan bardziej niż enigmatyczny. Sam chętnie poznałbym szczegóły tego odkrycia. Może znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Niv nalał sobie jeszcze jeden kieliszek, który wychylił, nie zapijając. Pokłady jego zaufania zostały ostatnio cokolwiek nadszarpnięte, a Sestiere był jedną z dwóch osób, które widziały projekt... Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że jeśli na całym świecie istniał choć jeden człowiek, którego bardziej interesowała treść odkrycia, niż stojąca za nim perspektywa zysków, to był to właśnie ten stary naukowiec.

– Pracując dla Bielawskiego – zaczął Niv – opracowałem nanoboty, które potrafią łąpać enzymy i używać ich do manipulacji DNA...

– Jak teraz mi pan powie, że mają aktywność helikazową, a helikazy są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów, wstają i wychodzę.

Niv parsknął krótko i przytaknął ze zrozumieniem.

– Od helikaz oczywiście zacząłem – kontynuował – ale potem dodałem funkcję wychwytywania innych białek i uzyskałem szerokie spektrum możliwości operowania cząsteczką DNA: cięcia,

gęcia, a przede wszystkim substytucji nukleotydów! Potem, dzięki pojawieniu się w Weizmannie nanokomputerów kwantowych – wzrok rozbłysnął mi na wspomnienie ekscytacji, z jaką przeżyłem z budynku obok pudełko z prototypami opatrzone napisem „do utylizacji” – udało mi się spakować cały genom na dysk wielkości jednej dziesiątej przeciętnej komórki i dodać równie mały procesor zdolny do przetwarzania go w czasie rzeczywistym.

Profesor Sestiere podrapał się po łysinie.

– Pamięć już nie ta, ale jeśli dobrze pojąłem z projektu, to były dwa rodzaje nanobotów: robotnice naprawiające DNA oraz matki zawierające ten dysk z całą sekwencją organizmu, ale zbyt duże żeby wejść do komórki.

Niv stosownym milczeniem pominął uwagę o szwankującej pamięci, zwłaszcza, że padła z ust człowieka, który zawartością swojego mózgu prawdopodobnie zappełniłby niejedną płytę kwantową. W zamian skupił się na istocie projektu.

– Dokładnie tak. Opisałem też bazującą na promieniowaniu terahercowym komunikację między robotnicami i matkami. Ponieważ to promieniowanie jest wyjątkowo mało przenikliwe, musiałem dostarczyć organizmowi odpowiednią liczbę matek, tak, by znalazła się przynajmniej jedna na każdy centymetr sześcienny ciała. Inaczej robotnice straciłyby dostęp do sekwencji referencyjnej na dysku.

– Potem przedstawił pan wyniki, których zagmatwanie do formy, w jakiej je otrzymaliśmy, chyba zajęło więcej czasu niż ich uzyskanie – podsumował profesor, a widząc zboląłą minę Niva, zastrzegł szybko: – Nie mam na myśli, że były niepoprawne! Broń Boże nie oskarżam pana o niekompetencję! – Pokiwał uspokajająco głową. – Mam na myśli raczej to, że w przeciwieństwie do większości pana kolegów, nie usiłował pan statystyczną żonglerką ukryć niepewności czy też nieinterpretowalności rezultatów. Wprost przeciwnie! Do rangi sztuki podniósł pan poddawanie własnych wyników w wątpliwość. Szczerze mówiąc, może powinien pan pomyśleć o zmianie dziedziny. W biologii, z takim podejściem, nie wróżę panu sukcesów na polu publikacyjnym i w pozyskiwaniu grantów...

Profesor uśmiechnął się niewesoło, a Niv, chcąc nie chcąc, musiał przyznać mu rację. Skłamałby, twierdząc, że podobna myśl

nigdy nie przyszła mu do głowy, zwłaszcza gdy porównywał swoje podejście z podejściem tych, którzy publikowali w „Nature” czy „Science” tak regularnie i niefrasobliwie zarazem, jakby to był ich prywatny blog.

– Szczęśliwie – ciągnął staruszek – praca z fizykami nauczyła mnie tego i owego o liczbach i stąd moja ekscytacja pana odkryciem. Nie rozumiem tylko, dlaczego mimo wszystko nie udaje się panu leczyć raka?

Niv bezradnie rozłożył ręce.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – przyznał otwarcie. – Różnice osobnicze uniemożliwiają mi stworzenie uniwersalnej sekwencji referencyjnej dla danego gatunku, więc muszę przygotowywać ją oddzielnie dla każdego osobnika. W tym celu pobieram materiał genetyczny z różnych tkanek, sekwencjonuję, ustaliam konsensus, ale i tak część z tych sekwencji, szczególnie stworzona na podstawie tkanek osobników starszych i takich, u których już rozwinął się rak, wyrządza więcej szkody niż pożytku. Zmiany w DNA wprowadzane na ich podstawie przez nanoboty zamiast leczyć, nagle prowadzą do pojawienia się nowotworu! Ale jaki stoi za tym mechanizm, nie mam pojęcia. Może w pewnym wieku jest już zbyt wiele mutacji, by dało się dobrze uśrednić sekwencję?

– Każdy podział komórkowy zmienia dziedziczoną informację genetyczną i po iluś pokoleniach przestaje ona być kompatybilna z sekwencją referencyjną... – mruknął Sestiere w zamyśleniu.

– Na to wygląda. Żeby wspólna matryca miała sens, musi być stworzona wcześniej. Wtedy ma szansę służyć jako sekwencja referencyjna. Jeśli będziemy czekać za długo...

Niespodziewanie Sestiere chwycił Niva za ramię i zaczął nim gwałtownie potrząsać.

– Eureka! Już wiem! Chodźmy do Bielawskiego! Musimy wykonać kilka telefonów!

* * *

Następnego dnia o trzynastej wciśnięty w pożyczoną marynarkę Niv wyszedł na mównicę sali konferencyjnej. Profesor Sestiere zapowiedział go jako obiecany gwóźdź programu. Emocje, zmę-

czenie, litry wypitej kawy i szklanka specyfiku na wzmocnienie głosu – wszystko to sprawiło, że nie zapamiętał szczegółów wykładu.

Opowiadał o myszach, którym wstrzyknął nanoboty. O tym, jak część z nich umierała po kilku godzinach, a część po kilku dniach, w zależności od wieku i stopnia rozwoju nowotworu. Pokazywał wykresy, zdjęcia i schematy wskazujące, jak bardzo nie udało mu się znaleźć sposobu na raka i jakie efekty uboczne nękały badane gryzonie.

W pierwszym rzędzie Graham Young zawzięcie klepał w klawisze laptopa. Po kordialności oraz dziecinnym zapale prostodusznego entuzjasty nauki, którego z takim powodzeniem odgrywał na potrzeby profesora Bielawskiego, nie został nawet ślad. Teraz trudno było w ogóle dać wiarę, że jego wydłużona, pełna powagi twarz o wyrazistych rysach byłaby zdolna do tego typu żywiołowej ekspresji, przebiegle zmrużone oczy – do chorobliwej ekscytacji, wygięte w dół, zaciśnięte usta – do uśmiechu. Podczas całego wykładu zaledwie raz oderwał wzrok od komputera i spojrzął na Niva, a w jego błękitnych oczach mignęło zniecierpliwienie, a także pełen rozczarowania wyrzut. Zaraz jednak stracił zainteresowanie prelegentem i tylko ledwo dostrzegalne wykrzywienie wąskich warg w pogardliwym grymasie było dowodem, że zaszczycił Niva jakąkolwiek myślą. Chwilę później jego proste brwi znów ściągnęły się w pojedynczą poziomą kreskę, wysokie czoło zmarszczyło w skupieniu, a ostry podbródek i mięśnie szczęk zadrgały mimowolnie, zdradzając, że dyrektor InnoMedu miał jakiś twardy orzech do zgryzienia. Niv życzył mu z całego serca, aby połamał sobie na nim zęby.

Obok Younga siedziała Daiva i wpatrywała się w przestrzeń, a na jej twarzy malowały się emocje, których Niv dla odmiany nie miał ani czasu, ani ochoty analizować.

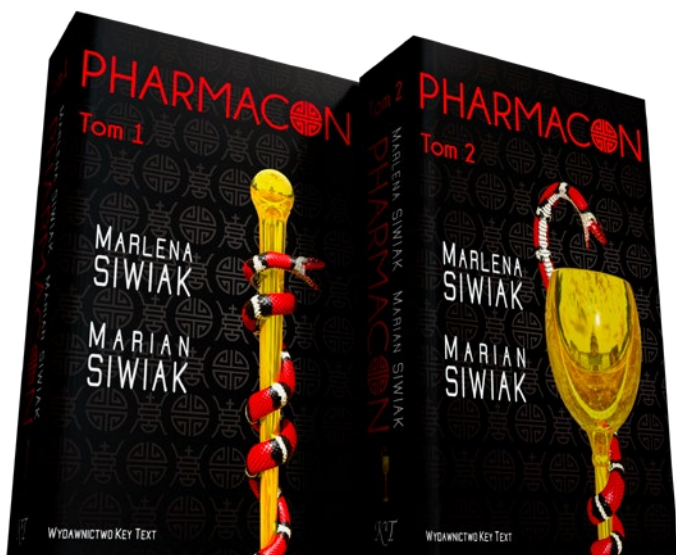
Na koniec wykładu pokazał to, co umknęło wszystkim, poza nim i profesorem Sestiere. Wrócił do slajdów z wynikami zdrowych myszy poddawanych działaniu nanobotów. Średni czas życia nie odbiegał od wartości, do których przyzwyczajeni byli obecni. Inny obraz pojawiał się po rozłożeniu próby na grupy wiekowe i odrzuceniu wyników starszych, zmarłych gwałtownie osobni-

ków. Młodsze gryzonie nie tylko przeżywały, ale żyły kilkukrotnie dłużej niż przeciętna laboratoryjna mysz!

Gdy skończył, część słuchaczy ostentacyjnie wyszła. Większość tych, którzy zostali, prześcigała się w podważaniu jego wyników. Ci, którzy nie odróżniali pipety od szalki, oskarżali go o błędy warsztatowe; ci, którzy nie odróżniali średniej od mediany, o statystyczne; pozostali zaś, którzy nie znali się na niczym, wręcz o szarlatanerię. Potem profesorowie pokłócili się między sobą o jakieś dawno zapomniane doświadczenia, a gdy kończyły się im argumenty, wywlekali – ku ucieście dziennikarzy i młodzieży – sterty brudów sprzed dekad.

Po dwóch godzinach Sestiere wstał i zakończył sesję pytań, pozwalając zabrać głos milczącemu od dłuższej chwili Nivowi. Ten uśmiechnął się z wdzięcznością i ogłosił:

– Za zgodą Instytutu Weizmanna wszystkie protokoły, metody i wyniki mojego badania zostaną umieszczone w specjalnym repozytorium. Z tego co mi wiadomo, są tam przesyłane właśnie w tej chwili. – Spojrzał na Younga, który wyglądał, jakby dostał zawału. – Ach. Byłbym zapomniiał. – Wbił w dyrektora twarde spojrzenie. – Są dostępne na otwartej licencji.



Drogi Czytelniku,
miło nam, że zostałeś z nami do końca tej próbki tekstu.
Jeśli zaintrygowała Cię historia Niva, odwiedź stronę naszej książki:
www.pharmacon.mmsiwiak.com

Marlena i Marian

... to Bóg zazdrości człowiekowi śmiertelności.

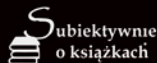
Od wciągającego pierwszego zdania do prowokującego do refleksji ostatniego powieść Marleny i Mariana Siwiaków jest dokładnie tym, czego wytrawny Czytelnik oczekuje od thrillera technologicznego. Znajdziemy w niej bowiem ciekawy temat przewodni, wartką akcją i przystępnie podaną wiedzę naukową, mało znaną laikowi. Książka ukazuje wyzwanie, przed jakim stoi współczesna ludzkość oraz sygnalizuje niebezpieczeństwa, które mogą popchnąć nas ku ostatecznej katastrofie. PHARMACON nie jest więc w swojej istocie zwykłym dreszczowcem z elementami fantastyki naukowej, ale to również niebanalna i niezwykle aktualna w swojej wymowie powieść z nieprzewidywalną fabułą i trafnymi spostrzeżeniami dotyczącymi otaczającej nas rzeczywistości.

Wydawcy oddają w ręce Czytelników książkę, której nigdy nie zapomnę, zapewniła mi bowiem intensywne emocje i skłoniła do rozważań nad odwiecznym pragnieniem człowieka, jakim jest wieczne życie. Autorzy, zadając trafne pytania o to, jaką cenę gotowi są zapłacić ludzie, aby owo marzenie zrealizować i czy brak perspektywy końca eliminuje jakikolwiek sens istnienia, zmuszają do wnikliwej analizy ludzkiej natury.

PHARMACON to bogata w detale, dopracowana i błyskotliwa powieść, która absorbuje do samego końca. Jeśli masz ochotę na dobry technothriller, koniecznie sięgnij po tę książkę.

Wioleta Sadowska, subiektywnieoksiążkach.pl

PATRONI MEDIALNI



Cena 39,99 PLN



www.keytext.com.pl



www.pharmacon.mmsiwiak.com